

*Ewa wzywa 07...*



Zygmunt Zedler-Zborowski  
**PRAWDA RODZI NIENAWIŚĆ**



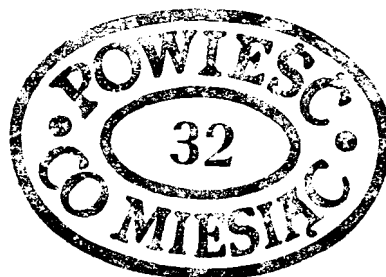
*Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...*

---

Zygmunt Zeydler-Zborowski

PRAWDA RODZI NIENAWIŚĆ

---



ISKRY • WARSZAWA • 1971

---

## ROZDZIAŁ I

- Czy pani mogłaby mi jeszcze przeprosować tę apaszkę?

Leokadia kończyła zmywać. Nie odwróciła głowy, nie spojrzała na swoją chlebodawczynię.

- Pani da - mruknęła, ustawiając szklanki na suszarce.

- Już późno. Przykro mi, że pani jeszcze zawracam głowę takim głupstwem, ale bardzo się spieszę - usprawiedliwiała się Joanna.

- Pani da tę apaszkę. - W głosie gosposi nie było ani cienia życzliwości. Umówiła się z siostrą, że przyjdzie na telewizję, a tu akurat tyle roboty. Musiała ugotować obiad, lecieć do apteki i teraz jeszcze to cholerne prasowanie. Niechby sobie sama prasowała. Ona się nie godziła, że będzie siedzieć tu do wieczora. Za tę marną pensję nie wiadomo jakie wymagania. Nie wypowiedziała jednak głośno tych buntowniczych myśli, włączyła żelazko i zabrała się do prasowania apaszki. „Jak psu z gardła wyjęta” pomrukiwała, rozprostowując oporny materiał.

Joanna kończyła robić oczy. Nie szło jej to dzisiaj. Ciągłe miała wrażenie, że prawa powieka jest mocniej pomalowana aniżeli lewa. Parę razy ścierała tusz, poprawiała, zmieniała pędzelek, przeglądała się w rozmaitych lusterkach. Wreszcie zdecydowała, że lepiej nie będzie. Przeciągnęła szminką po wargach, włożyła wieczorową sukienkę, poprawiła uczesanie, za uszami dotknęła koreczkiem zwilżonym francuskimi perfumami i pobiegła do łazienki, żeby w dużym lustrze obejrzeć dokładnie całą swą postać. Egzamin wypadł pomyślnie. Nawet najbardziej surowy sędzia nie mógłby zaprzeczyć, że ma przed sobą bardzo ładną, atrakcyjną i elegancką kobietę. Uśmiechnęła się, przeciągając piśczętliwie dłonią po lustrzanej tafli. Następnie wyszła z łazienki i otworzyła drzwi prowadzące do pokoju Edwarda.

Nie paliła się żadna lampa. W półmroku rozproszonym trochę światłem padającym z kuchni dojrzała na tapczanie skuloną postać.

- Spisz? - spytała cicho.

Przewrócił się na drugi bok jakby z pewnym wysiłkiem, wyciągnął rękę i nacisnął wyłącznik. Lampa z dużym abażurem zajaśniała pomarańczowym blaskiem.

- Jednak idziesz?

- A dlaczego miałabym nie iść?

- Czuję się bardzo marnie. Wolałbym żebyś została.

- Przestań histeryzować. Dosyć już mam tej twojej hipochondrii. Nic ci nie jest.

- Przecież doskonale wiesz, że jestem chory.

- Ja wiem tylko jedno, że ty zawsze jesteś chory ile razy mamy gdzieś iść. Mam tego dosyć. Rozumiesz? Dosyć. Chcę żyć, chcę używać życia, chcę się bawić, tańczyć, widzieć koło siebie ludzi. Nie jestem stworzona na pielęgniarzkę i nie mam najmniejszego zamiaru siedzieć tutaj i wysłuchiwać twoich jęków. Moja cierpliwość także ma w końcu jakieś granice. Nie mogę, dłużej już tak nie mogę. Mam dosyć! - Mówiła coraz głośniej. Ostatnie słowa wypowiedziała krzykiem.

- Uspokój się. Gosposia...

- Nic mnie nie obchodzi gosposia! - krzychała dalej Joanna. - Niech słyszy. A zresztą Leokadia jest doskonale zorientowana w tym wszystkim. Nie od dzisiaj przecież do nas przychodzi. Widzi jak wygląda to moje życie. Ale to się skończy. Przysięgam ci, że to się skończy. I tak już tyle lat przy tobie zmarnowałam. Nie mam najmniejszego zamiaru dalej tego ciągnąć. Jestem młoda i chcę żyć. Rozumiesz? Chcę żyć.

Nic nie powiedział. Z powrotem odwrócił się twarzą do ściany i naciągnął kołdrę na głowę.

Wyszła, głośno zamykając drzwi za sobą.

- Apaszka już odprasowana - powiedziała ponuro Leokadia. - Jeżeli koniecznie trzeba, to ja zostanę przy panu.

- Nie trzeba. Dziękuję pani. Pan ma przy łóżku telefon. W razie gdyby się naprawdę źle poczuł, zadzwoni po lekarza.

- To ja mogę iść do domu?

Może pani iść do domu. Dziękuję za apaszkę.

\*

Trunki były dobre i w dużych ilościach. Nic też dziwnego, że rozmowy stawały się coraz głośniejsze, dyskusja coraz bardziej zajadła, dowcipy coraz bardziej ryzykowne. Ten i ów próbował nawet swoich wokalnych talentów, ale do „góralu czy ci nie żal” jeszcze nie doszło. „Sto lat” również odkładano na później. Na razie towarzystwo znajdowało się na etapie problematyki politycznej, zrecznie faszerowanej ostatnimi plotkami z życia towarzyskiego oraz mniej lub więcej wysysanymi z palca skandalikami ze świata artystów. Tego rodzaju „sensacyjne” wiadomości zazwyczaj poprzedza tajemniczy szept: „Wyobraźcie sobie, że...” albo „Czy słyszeliście już...” albo „Coś wam powiem, ale proszę o całkowitą dyskrecję”.

Joanna była w swoim żywiole. Wyróżniała się urodą i elegancją. Otaczali ją mężczyźni, prześcigający się w uprzejmościach i komplementach. Kobiety mniej były nią zachwycone. Od czasu do czasu któraś z pań mówiła ze współczującym westchnieniem: -"Jaka szkoda, że twój mąż nie mógł przyjść. Co za uroczy człowiek. Czy rzeczywiście jest tak poważnie chory?" Jedna z „najserdeczniejszych” przyjaciółek powiedziała, uśmiechając się słodko: - Śliczną masz sukienkę, tylko jakoś bardzo poważnie w niej wyglądasz, ale znowu w pewnym wieku nie można już udawać dziewczyneczki. No cóż... czas biegnie. Niestety, wszyscy się starzejemy.

Nic jednak nie mogło Joannie popsuć humoru. Wiedziała, że się podoba. Czowała na sobie pełne zachwyty spojrzenia przedstawicieli płci brzydkiej. Królowała.

W pewnej chwili podeszła do niej Dorota.

- Telefon do ciebie.

- Do mnie? Kto dzwoni? Edward?

- Nie. Jakaś pani Kalinowska z Anina.

Joanna niespokojnie spojrzała na przyjaciółkę.

- To sąsiadka Mamy. Czyżby się coś stało?

Weszły do niewielkiego pokoju, w którym stał telefon. Joanna podbiegła do aparatu. Dorota także przyłożyła ucho do słuchawki.

- Halo? Słucham? - powiedziała Joanna.

- Czy pani Joanna?

- Tak, tak, jestem. Słucham.

- Mówi Kalinowska. Przepraszam, że przeszkadzam, ale mamusia pani nagle zachorowała, bardzo źle się czuje. Prosiła, żeby pani do niej koniecznie przyjechała. Wzywałam pogotowie. Lekarz powiedział, że na razie nie wolno mamusi ruszać, ale, że trzeba będzie do szpitala...

- Co mamie jest? Co się stało?

- Serce, lekarz mówi, że serce. Przyjedzie pani?

- Oczywiście. Już wychodzę. Dziękuję, że pani zadzwoniła. Proszę powiedzieć mamusi, że zaraz przyjeżdżam.

Odłożyła słuchawkę i dotknęła ramienia przyjaciółki.

- Bardzo mi przykro, ale muszę jechać. Wyniosę się po angielsku.

- Jak się o tej porze dostaniesz na dworzec? - powiedziała z troską w głosie Dorota. - Adam by cię odwiózł, ale on już sporo wypił. Nie może prowadzić.

- Głupstwo - uśmiechnęła się Joanna. - Dam sobie radę. W ostateczności taksówką pojadę do Anina. Pożegnaj ode mnie Adama. Do widzenia.

Uściskały się.

- Nie zmarzniesz? - spytała Dorota.

- Nie, nie. Jest zupełnie ciepło, a zresztą mam przecież płaszcz. Ciao.

Była już w przedpokoju kiedy Dorota chwyciła ją za rękę.

- Zaczekaj. Nie chcę się wtrącać do waszych spraw, ale wydaje mi się, że chyba powinnaś zadzwonić do Edwarda. Nie wiadomo jak długo zostaniesz u mamy. Będzie się niepokoił.

Joanna zawahała się. Wróciła do telefonu.

- Masz rację. Zadzwonię.

Nakręciła numer. Po chwili posłyszała słaby głos męża: - Halo... - Powiedziała, że jedzie do Anina, bo matka zachorowała.

- Kiedy wrócisz? -

- Nie wiem. To będzie zależało od tego, jak się mamusia będzie czuła.

- Daj mi jakoś znać. Zadzwon z Anina.

- Dobrze, dobrze, zadzwonię.

Dorota odebrała jej słuchawkę.

- Halo. Dobry wieczór, Edziu. Strasznie tu wszyscy żałujemy, żeś nie przyszedł. Jak się czujesz?

- Raczej marnie. Coś mi serce nawala. Obawiam się, że będę musiał dzwonić po lekarza.

- Trzymaj się, Edziu. Najlepiej dobrze się wyśpij. Jutro cię odwiedzimy. Dobranoc.

Dorota odprowadziła Joannę do przedpokoju, zamknęła za nią drzwi i wróciła do gości. Na jej widok ktoś schrypniętym nieco barytonem zaintonował „sto lat...”

\*

Grube krople deszczu spływały po szybach. Wycieraczka pracowała bez przerwy z rytmicznym stukotem. Mokra jezdnia błyszczała w świetle latarni.

Doktor Pawelski przymknął oczy. Był zmęczony, a ta szaruga zwiększała jeszcze nieznośne uczucie senności.

- Pogoda coś nam się psuje - powiedział sanitariusz.

- Uhm - mruknął Pawelski - Ziewnął i znowu przymknął oczy. Powieki ciążyły mu jakby były z ołowiu.

- Ale i tak nie możemy narzekać - próbował podtrzymać rozmowę sanitariusz - Prawie cały wrzesień był piękny.

Zwolnili, następnie gwałtownie skręcili w prawo i kierowca nacisnął na hamulec.

- To gdzieś tutaj będzie, panie doktorze. Trzeba poszukać.

W nowoczesnym budownictwie znaleźć właściwą klatkę schodową nie jest rzeczą łatwą. Pawelski miał jednak sporą wprawę w odnajdowaniu pacjentów i przy pomocy Kozłowskiego (tak bowiem nazywał się sanitariusz) trafił do drzwi oznaczonych numerem 17.

Upłynęła dłuższa chwila zanim, naciskając dzwonek, osiągnęli pożądany skutek. Usłyszeli najprzód stąpanie, potem sapanie i wreszcie szcęknięcie zatrzasku. Cienkie drzwi, sporządzone z dwóch arkuszy dykty, spełniały rolę deski rezonansowej i na klatce schodowej można było dokładnie słyszeć co się dzieje w mieszkaniu.

Zobaczyli przed sobą mniej więcej pięćdziesięcioletniego mężczyznę w szlafroku narzuconym niedbale na pidżamę koloru dojrzałej wiśni. Pasek od szlafroka włókł się za nim po podłodze.

- Czy pan Rosicki? - spytał Pawelski, zerknąwszy na kartkę, na której miał zapisane nazwisko chorego.

- Tak. Dziękuję, że pan doktor przyjechał. Proszę - odgarnął z czoła ciemne, pozlepiane potem włosy i wprowadził przybyłych do pokoju.

- Niech się pan kładzie - powiedział Pawelski, wskazując tapczan.

- Czy pan sam jest w domu?

- Tak. Sam jestem w domu. Niestety. Moja żona poszła na przyjęcie.

Pawelski nie podjął tego tematu. Spytał:

- Co panu dolega?

- Złapałem gdzieś grypę, panie doktorze. Leżę już drugi dzień, a dzisiaj coś z sercem...

- Zaraz zobaczymy. Proszę się rozebrać.

Badanie trwało dość długo. Pawelski był bardzo sumiennym lekarzem i nigdy nie lekceważył dolegliwości pacjenta. Wreszcie schował stetoskop i aparat do mierzenia ciśnienia i powiedział:

- Stwierdzam u pana przyspieszoną działalność serca, pewną arytmie.

- Czy to coś poważnego, panie doktorze? - zaniepokoił się Rosicki - Może trzeba do szpitala?

- Nie, nie na razie to zbyteczne. Dam panu uspokajający zastrzyk, przepiszę proszki. Powinien pan się poczuć lepiej. Jeżeli raz jeszcze coś by było nie w porządku, proszę wezwać lekarza rejonowego. A po tej grypie niech się pan zgłosi do poradni kardiologicznej. To nic specjalnie poważnego, ale o serce należy dbać. Czy pan już kiedyś chorował na serce?

- Właściwie nie. Od dawna mam trochę nerwicy, ale to chyba wszyscy.

Doktor Pawelski zrobił zastrzyk, zapisał lekarstwo i pożegnał pacjenta, życząc mu szybkiego powrotu do zdrowia.

\*

To było nie do wytrzymania.

Natrętny, uparty dźwięk wdzierał się pod czaszkę, przenikał do j każdego nerwu, dręczył.

Czuła podświadomie, że musi coś zrobić, musi działać, za wszelką cenę przerwać ten koszmar. W żaden sposób nie mogła jednak pokonać bezwładu, który ją paraliżował. Wszystkie próby powrotu do rzeczywistości okazały się daremne. Co za męka. Ocucił ją dopiero ostry, energiczny głos Adama:

- Co jest, do cholery? Nie słyszysz, że telefon dzwoni?

Ależ tak. To był po prostu telefon, tylko telefon. Zdobyła się na olbrzymi wysiłek, wyciągnęła rękę i podniosła słuchawkę.

- Halo..? - Przestraszyła się własnego głosu.

- To ty, Doroto? Dzień dobry. Czy cię obudziłem?

Sięgnęła po szklankę z wodą, stojącą przy tapczanie, wypila duży łyk i odpowiedziała już trochę przytomniej:

- Tak, obudziłeś mnie, ale to nic nie szkodzi.

- Bardzo mi przykro. Myślałem, że... dochodzi pierwsza.

- Co ty mówisz? Już pierwsza? Co prawda nie tak dawno położyłam się. Troszkę się ta wczorajsza uroczystość przeciągnęła. A ty jak się czujesz?

- Dziękuję. Trochę lepiej. Czy mogłabyś poprosić Adama?

- Oczywiście. Stoi tu koło mnie i zaraz będzie mi robił wymówki, że za dużo wypiałam.

Kruszewski podszedł do żony i wyciągnął rękę po słuchawkę.

- Halo. Cześć, Edziu. Podobno już jesteś zdrowszy. Żałuj, że wczoraj u nas nie byłeś. Byłbyś się zabawił.

- Słuchaj, Adam - powiedział Rosieki - Jestem niespokojny o Joannę.

- O Joannę? Dlaczego?

- Pojechała wczoraj do Anina. Matka jej zachorowała. Ale przecież już do tej pory powinna była dać znać. Pojechałbym tam, ale lekarz zabronił mi się ruszać. Coś z sercem nie zupełnie w porządku.

Kruszewski zastanowił się. Był zmęczony, niewyspany i diabelnie nie chciało mu się jechać do Anina.

- Słyszysz mnie, Adasiu?

- Tak, tak, słyszę cię. No wiesz... Prawdę mówiąc... Ale jak trzeba, no to pojedę do twojej teściowej. Mówi się trudno.

- Jesteś porządny chłop. Bardzo ci dziękuję.

Kruszewski odłożył słuchawkę i z nieukrywaną niechęcią spojrzął na żonę.

- No i po co chlejesz tyle tej wody?

- Och, Adasieczku, nie. gniewaj się na mnie - jęknęła. - Przyznaję, że to bardzo głupie, ale ciągle ktoś chciał się ze mną napić. Wiesz jak to jest. A zresztą to przecież były moje urodziny.

- To jeszcze nie powód, żeby się upijać do nieprzytomności. Żeby cię był nie powstrzymał, to byłabyś się rozebrała do naga. przy wszystkich gościach!

- Co ty powiesz? A to ci heca. Nic nie pamiętam. Musiałam być rzeczywiście

fest wlana. Przepraszam cię.

Machnął ręką.

- Daj spokój. Ale już nigdy więcej nie będzie u nas w domu tyle alkoholu. To nie ma najmniejszego sensu. Co sobie ludzie o nas pomyślą.

Skrzywiła się.

- Eee, nie przejmuj się. U nas, w Polsce nigdy się źle nie myśli o tym kto pije wódkę. Ci niepijący są podejrzani i nieszczerzy.

- Muszę jechać do Anina - powiedział Kruszewski.

- Wiem. Słyszałam. Uważaj, Adasiu. Bardzo cię proszę. Jesteś zmęczony. Nie jedź zbyt szybko.

- Bądź spokojna. Ja prawie zupełnie nie piłem.

- Może lepiej pojechałbyś autobusem?

- Nie, nie. Wezmę wóz. Będzie prędzej.

Matka Joanny mieszkała w małym, parterowym domku. Niewielki ogródek pełen był kwiatów.

Kruszewski zatrzymał samochód, wygramolił się zza kierownicy i, obciążony wygniecioną marynarką, pchnął obrośniętą winem furtkę.

Od razu spostrzegł panią Lipkowską zajęta pracą w ogrodzie. Pomyślał więc, że ta dolegliwość sercowa nie musiała być chyba zbyt poważna skoro chora uwijała się z motyką w rękę pomiędzy grządkami.

- Dzień dobry. Widzę, że pani już się zupełnie dobrze czuje.

Podniosła zaróżowioną, wesołą twarz.

- A, dzień dobry panu. Dlaczegoż to miałabym się źle czuć?

- Podobno pani chorowała na serce.

- Ja? Na serce? Kto to panu powiedział?

Zmieszał się. W pierwszej chwili nie mógł się zorientować co to wszystko właściwie znaczy. Przeciągnął dłonią po włosach i próbował się uśmiechnąć. Musiał mieć niezbyt mądrą minę, bo spojrzała na niego i roześmiała się.

- Co się z panem dzieje, panie Adamie? O co panu chodzi? Proszę, niech pan wejdzie do domu. Zaraz przyszykuję herbatę, a może woli pan kawę. Bo kawę także mam.

- Widzi pani... Ja chciałem się zobaczyć z Joanną.

- Joanny nie ma dzisiaj u mnie. Była wczoraj, wczoraj rano. Prosiłam, żeby przyjechała, bo miałam taki tam drobny upominek dla pani Dorotki na urodziny.

- A w nocy? - spytał Kruszewski, którego poczynał ogarniać coraz większy niepokój. - W nocy Joanna nie przyjeżdżała do pani?

- Ale skądże. Po cóż miałyby przyjeżdżać do mnie w nocy?

Kruszewski z pewnym wysiłkiem przełknął ślinę.

- Musiał ktoś głupio zażartować - powiedział, usiłując nadać swemu głosowi normalne brzmienie. Spojrzała na niego bacznie.

- O jakich żartach pan mówi?

- Ktoś telefonował do nas w czasie przyjęcia, jakaś kobieta. Podała się za panią Kalinowską i powiedziała, że pani jest ciężki chora i żeby Joanna natychmiast przyjeżdżała do Anina.

- Coś podobnego! Kalinowską? Zaraz to sprawdzimy. - Staruszka podreptała żwawo w kierunku domu, wołając:



- Pani Wandeczko! Pani Wandeczko!

Pani Wandeczka była wysoka, koścista, szeroka w ramionach. Poruszała się jak stary wiarus, nie goliła wąsów i co chwila poprawiała okulary, które jej się zsuwały na suchym, zgiętym ku dołowi nosie. Głos jednak miała miły, łagodny, nie licujący z posturą emerytowanego pułkownika dragonów.

- Słucham panią, pani Zosieńko. Co się stało?

- Czy pani telefonowała w nocy do mojej córki?

- Do pani córki? Ja? W nocy?

Kruszewski podszedł bliżej, ukłonił się i powiedział:

- Bardzo przepraszam, ale to najwidoczniej jakieś nieporozumienie. Musiał ktoś zrobić głupi kawał.

- I pan przypuszczał, że Joanna jest tutaj, u mnie? - spytała pani Lipkowską.

- Tak. Była pewna, że pani jest chora i miała jechać do Anina.

- Ale nie przyjechała. Co to wszystko znaczy? Zaczynam być niespokojna. Może jej się coś stało?

- Ależ nie, nic się jej nie stało - powiedział z łagodnym uśmiechem Kruszewski. - Na pewno wstąpiła po drodze do domu i wszystko się wyjaśniło. Proszę się nie niepokoić.

- Dlaczego pan przypuszczał, że to ja telefonowałam? - spytała pani Wandeczka.

- Ponieważ ta kobieta, która dzwoniła do nas w nocy podała się za panią Kalinowską z Anina.

- To jest bezczelność podszywać się pod cudze nazwisko. Ja ją podam do sądu. Nie mogę pozwolić na takie rzeczy.

- Najpierw musimy dowiedzieć się kim była ta kobieta. - Kruszewski pożegnał się ze starszankami i zawrócił w kierunku furtki. Pani Lipkowską dogoniła go w połowie drogi.

- Panie Adamie! Panie Adamie!

Zatrzymał się.

- Słucham panią?

- Jestem bardzo niespokojna. Dajcie mi jakoś znać. Najlepiej niech Joasia do mnie przyjedzie. Tutaj nigdzie w pobliżu nie ma telefonu a na pocztę to kawał drogi. Ale jak nie będę miała wiadomości to pójdę i zatelefonuję.

- Niech się pani nie denerwuje. Na pewno nic się nie stało. Jestem przekonany, że Joanna odsypia u siebie nieprzespaną noc.

Kruszewski w nie najlepszym humorze wrócił do Warszawy. Miał ochotę pojechać do siebie i naradzić się z Dorotą, ale doszedł do wniosku, że przedłużanie tego wszystkiego nie ma najmniejszego sensu i że trzeba natychmiast zawiadomić Edwarda.

Rosicki był mizerny i bardzo zdenerwowany. Ręce mu się trzęsły

- No i co? Widziałeś Joannę?

- Nie. Joanny nie ma w Aninie.

- Nie ma jej u matki? Więc gdzież jest?

Kruszewski wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. To był jakiś kawał z tym całym telefonem. Twoja teściowa zdrowa jak ryba. Nie miała żadnego ataku serca. Kalinowska wcale do

nas nie dzwoniła. Nic nie wiedzą o Joannie.

Rosicki utkwiał niespokojne spojrzenie w twarzy przyjaciela.

- Adam, co to wszystko znaczy?

- A bo ja wiem - Kruszewski zapalił papierosa i rozejrzał się po pokoju.

Popielniczka jest w kuchni - powiedział Rosicki.

Kruszewski wyszedł. Kiedy wrócił, Rosicki wciągał spodnie.

- Ubierasz się?

- No chyba. Przecież muszę coś robić. Muszę szukać Joanny.

- Lekarz nie pozwolił ci wstawać.

- Gwiżdżę na lekarza. Nie mogę tak leżeć beczynnio.

- Ale gdzie właściwie masz zamiar szukać Joanny?

Rosicki, który zasznurował już jeden but, podniósł głowę i otarł spocone czoło.

- To prawda. Gdzie jej będę szukał? - powiedział cicho. - Może zawiadomić milicję? Jak myślisz?

Kruszewski zgasił papierosa i przysunął swoje krzesło bliżej tapczanu.

- Słuchaj, Edziu - zniżył głos, jakby się obawiał, że ktoś może go podsłuchać.

- Trzeba się nad tym spokojnie zastanowić. Ktoś wywołał Joannę od nas pod pozorem, że jej matka jest chora.

- Ale kto to mógł zrobić i w jakim celu?

- Ba. Na to pytanie nikt ci chyba nie odpowie. Musimy się zastanowić nad tą sprawą: czy Joanna była wtajemniczona w tę mistyfikację z chorobą matki, czy też nie?

- Joanna? Mistyfikacja? O czym ty właściwie mówisz? Dlaczego?

Kruszewski położył dłoń na ramieniu przyjaciela. - Przecież my dwaj nie musimy się czarować, prawda?

- O co ci chodzi?

- Wiem, że ty i Joanna już od dłuższego czasu niezbyt dobrze ze sobą żyjecie. A może Joanna ma kogo?

- A gdyby nawet, no to co z tego...?

- Może chciała się urwać z przyjątka i w porozumieniu ze swoim przyjacielem zaaranżowała ten fikcyjny telefon? Nie przypuszczała, że ja zaraz pojedę do Anina.

Rozległ się energiczny dźwięk dzwonka u drzwi wejściowych. Spojrzeli niespokojnie po sobie. Kruszewski podniósł się i poszedł otworzyć. Zobaczył dwóch mężczyzn w mundurach milicyjnych.

- Czy tu mieszka obywatel Edward Rosicki?

- Tak - odpowiedział cicho Kruszewski.

## ROZDZIAŁ II

Kapitan Ignacy Suchecki niczym nie przypominał legendarnego Sherlocka Holmesa czy też jakiegoś filmowego asa wywiadu. Średniego wzrostu, szczupły, twarz miał okrągłą, dziecięco rumianą, promieniującą optymizmem i radością życia. Nieduży, kartoflowaty nos, leciutko zadarty do góry, nadawał tej twarzy wyraz jakiegoś naiwnego zaciekawienia, a łagodne, niebieskie oczy patrzyły na świat jakby z pewnym zdziwieniem, połączonym z dobrotliwym pobłażaniem dla

tego wszystkiego co się na tym świecie dzieje. Nikt nigdy nie słyszał, żeby kapitan Suchecki podnosił głos czy też żeby się z kimś sprzeczał. Był cichy, zgodny, uczynny. Chętnie usuwał się w cień, nie dbając o własne interesy i karierę. Mogło się здаwać, że to jest człowiek, który absolutnie nie nadaje się do pracy w milicji, a tym bardziej w wydziale śledczym. Były to jednak tylko pozory, bo w rzeczywistości...

„Mały Ignasz” albo „Szarada”, jak go nazywali koledzy w komendzie, miał swój własny system prowadzenia śledztwa i przesłuchań. Wierzył bez zastrzeżeń we wszystko co mówił podejrzany czy też równie podejrzany świadek, a przynajmniej genialnie udawał, że wierzy. To całkowicie dezorientowało przestępców, którzy byli przyzwyczajeni do tego, że każde ich słowo było p o czytywane za kłamstwo. Ten dobrotliwy, życzliwie uśmiechnięty i bezkrytycznie wierzący w najbardziej nieprawdopodobne „legendy oficer śledczy peszył ich, niepokoił i całkowicie zbijał z tropu.

W związku z tym krążyła w komendzie następująca anegdota: Pewnego razu Suchecki przesłuchiwał notorycznego bandytę i włamywacza, który opowiadał niestworzone historie, kłamiąc w żywe oczy i zaprzeczając oczywistym faktom. „Mały Ignasz” tak znakomicie odegrał swoją rolę, z taką naiwną ufnością „wierzył” we wszystko, że wreszcie bandzior załamał się i wybuchnął: - Niechże pan nie wierzy w te łgarstwa, panie kapitanie kochany. Czy pan, jak pragnę Boga, nie widzi, że ja z pana balona robię. Odsiedzę swoje, mówi się trudno, ale sumienie mi nie pozwala takiego sympatycznego faceta, jak pan kapitanie, tak ordynarnie obelgiwać. Niech już będzie. To faktycznie ja włamałem się do tej spółdzielni. - Sceptycy twierdzili, że włamywacz zdążył przed przesłuchaniem „zatankować” pół litra cytrynowki i dlatego miał takie czułe sumienie, ale fakt pozostaje faktem, że Suchecki rozpracował swojego „klienta” i sprawę dość precyzyjnego włamania wyjaśnił szybciej aniżeli się można było tego spodziewać. Należy tu jeszcze wyjaśnić, że przezwisko „Szarada” powstało stąd, iż „łatwowierny kapitan bardzo często używał tego słowa. Mówił: „To skomplikowana szarada” albo „To przedziwna szarada”, albo „To trudna do ugrzyzienia szarada”.

Teraz Suchecki szedł wolno po schodach, a za nim jeszcze wolniej posuwał się porucznik Grabik. Nie spieszyli się. Rozmowa, którą mieli odbyć, nie należała do najprzyjemniejszych.

Zatrzymali się przed drzwiami oznaczonymi numerem siedemnaście. Na mosiężnej, poczerńiałej tabliczce wygrawerowany był napis „Joanna i Edward Rosiccy”.

Porucznik Grabik energicznie nacisnął dzwonek, tak jakby w ten sposób chciał sobie dodać otuchy.

Drzwi otworzył im wysoki, barczysty mężczyzna, przy którym Suchecki wyglądał nie tylko jak mały ale nawet jak maleńki Ignasz. Cóż znaczyły jego sześćdziesiąt cztery kilogramy wobec dziewięćdziesięciu paru kilogramów tego olbrzyma.

- Czy tu mieszka obywatel Edward Rosicki?
- Tak - odpowiedział cicho Kruszewski.
- Czy to pan?

- Nie. Ja jestem jego przyjacielem. Pan Rosicki leży chory.

- Przykro mi - uśmiechnął się przepraszająco Suchecki - ale musimy zobaczyć się z panem Rosickim w bardzo ważnej sprawie.

Kruszewski odsunął się i wpuścił ich do przedpokoju.

- Proszę. Panowie pozwolą. Zaraz zawiadomię mojego przyjaciela, że panowie chcą się z nim widzieć.

Rosicki siedział na tapczanie i nerwowo zapinał guziki przy pidżamie. Na widok milicjantów poruszył się gwałtownie, jakby chciał wstać.

- Co się stało? Czy coś z Joanną? Wypadek?

Kruszewski przysunął krzesła. Usiedli.

- Przykro mi - powiedział Suchecki - ale mamy dla pana złe wiadomości. Pańska żona nie żyje.

Rosicki patrzył na oficerów, jakby nie rozumiał znaczenia tych słów.

- Nie żyje? Jak to nie żyje? Dlaczego? Wypadek? Samochód?

- Nie, to nie był wypadek. Pańska żona została zamordowana.

Parokrotnie potrząsnął głową, jakby chciał zrzucić z siebie jakiś niewidzialny ciężar.

- Niemożliwe... niemożliwe. To nie może być prawda.

Suchecki rozłożył ręce.

- Niestety, to prawda, smutna prawda. Zidentyfikowaliśmy zwłoki. Przy denatce znaleziono dowód osobisty.

- Ale w jaki sposób? Kto ją zabił?

- Tego właśnie chcemy się dowiedzieć.

- Gdzie ją znaleziono?

- W Lasku Bielańskim.

Rosicki oburącz chwycił się za głowę.

- Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę w to uwierzyć - powtarzał zdławionym głosem.

Kruszewski położył mu rękę na ramieniu.

- Uspokój się. Musisz się opanować. Może dać ci jakichś kropli?

- Nie, nie. Nie chcę żadnych lekarstw.

Suchecki odczekał chwilę, chrząknął i powiedział.

- Doskonale rozumiem, że to dla pana straszny cios. ale chciałbym ustalić pewne fakty. W takich wypadkach każda chwila jest droga. Chodzi tylko o kilka pytań.

- Może by panowie przyszli jutro? - zaproponował Kruszewski. - Widzicie w jakim stanie znajduje się mój przyjaciel.

Rosicki wykonał gwałtowny ruch rękami.

- Nie, nie...! Wolę to już mieć za sobą. Dziś czy jutro to przecież wszystko jedno. Proszę, pytajcie panowie.

- Na co pan choruje? - spytał dość niespodziewanie Suchecki.

- Grypa. A w nocy przyplątały mi się jeszcze jakieś komplikacje sercowe. Czuję się tak fatalnie, że aż musiałem wzywać pogotowie.

- Kiedy po raz ostatni widział pan swoją żonę?

- Wczoraj wieczorem, jak wychodziła na przyjęcie.

- Na przyjęcie?

- Pani Rosicka była u nas na takim małym zebranku towarzyskim - pospieszył wyjaśnić Kruszewski.

- I zostawiła tak samego chorego męża? - zdziwił się Suhecki.

Kruszewski miał trochę zakłopotaną minę.

- Wydaje mi się, że Edward nie był taki bardzo chory, kiedy wychodziła z domu. Taka tam mała grypka...

Suhecki przeniósł spojrzenie na Rosickiego, jakby od niego oczekiwał jakiegoś komentarza w tej sprawie, ale Rosicki zwiesił głowę i milczał ponuro.

- O której pańska żona wyszła wczoraj wieczorem z domu?

- Było chyba koło siódmej.

- Tak - wtrącił się znowu do rozmowy Kruszewski - Do nas przyszła kilka minut po siódmej, a że mieszkamy niedaleko...

Suhecki przyjrzał mu się uważnie.

- Bardzo pana przepraszam, ale wołałbym, żeby panowie odpowiadali tylko na moje pytania.

Kruszewski zmieszał się.

- Przepraszam, panie kapitanie.

- Więc twierdzi pan, że pańska żona wyszła z domu około dziewiętnastej - podjął Suhecki.

- Tak.

- I został pan sam w mieszkaniu?

- Przez jakiś czas była jeszcze gosposia, ale niedługo potem poszła do domu.

- Zatrudnia pan gosposię?

- Tak. Przychodzi trzy razy w tygodniu.

- Czy może pan podać mi jej imię, nazwisko i adres?

- Oczywiście. Leokadia Frączkowska. Adresu dokładnie nie pamiętam. Wiem, że mieszka na Sadybie. Żona miała gdzieś zapisany jej adres.

- Drobiazg - powiedział Suhecki. - Z tym sobie jakoś poradzimy. Proszę mi powiedzieć, czy pańska żona miała jakichś wrogów? Czy mogło komuś zależeć na jej śmierci?

Rosicki potrząsnął głową.

- Nie, chyba nie. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. Komuż mogłoby zależeć na śmierci Joanny?

- Czy pańska żona posiadała wyższe wykształcenie?

- Tak. Ukończyła nawet dwa fakultety, filologię klasyczną i historię sztuki.

- Czy pracowała gdzieś?

- W „Desie”, ale ostatnio dostała wymówienie.

- Dlaczego?

- Nie bardzo się orientuję. Zdaje się, że kompresja etatów, czy coś takiego.

- Jak widać nie interesował się pan zbytnio sprawami swojej żony - powiedział z pewnym zdziwieniem Suhecki.

- Mam bardzo dużo swojej pracy.

- A można wiedzieć gdzie pan pracuje?

- W biurze projektów. Jestem inżynierem architektem.

- Dawno pan choruje, panie inżynierze?

- Już trzeci dzień leżę w łóżku.

- To przykre. Jest pan chyba pierwszą ofiarą grypy w tym roku.

Suhecki wstał, podszedł do okna i wyjrzał na ulicę.

- Chmurzy się - powiedział jakby do siebie - Pewnie znowu będzie padać.

Ano cóż... Nadchodzi jesień. I tak ostatnio mieliśmy sporo pogodnych dni.

Wrócił na swoje miejsce, odetchnął głęboko i spytał:

- Czy to jest dwupokojowe mieszkanie?

Rosicki skinął głową.

- Tak.

- W drugim pokoju zapewne mieszkała pańska żona.

- Tak.

- Czy pozwoli pan, że rzucę okiem na tamten pokój?

- Proszę. Adasiu, może zaprowadzisz pana kapitana.

Kruszewski ciężko podniósł się z krzesła. Był zmęczony.

Suhecki nie miał zamiaru przeprowadzać zbyt szczegółowej rewizji. Otworzył szafę, obejrzał pospiesznie sukienki i bieliznę. Stwierdził, że pani Rosicka miała dobry gust i była elegancką kobietą. Następnie podszedł do półek z książkami, na których znalazł historię filozofii oraz dzieła autorów greckich i rzymskich. Na zakończenie usiadł przy małym biurku, wyciągnął jedną z szuflad. Między różnymi papierami i rachunkami znalazł zaczęty i najwidoczniej zapomniany list. Tylko nagłówek: „Drogi Ryszardzie...” Miał ogromną ochotę dokładnie zbadać zawartość szuflad, ale krępowała go trochę obecność tego wielkoluda, tym bardziej, że nie zdążył jeszcze wystarać się o nakaz rewizji.

Wrócili do pokoju, w którym leżał Rosicki. Suhecki poczuł na sobie pytający wzrok porucznika. Postanowił wycofać się z tego terenu.

Powiedział kilka uprzejmych słów, pożegnał chorego i w towarzystwie Grabika i Kruszewskiego wyszedł do przedpokoju. Tutaj dotknął eleganckiego płaszcza „berberi”, wiszącego na wieszaku.

- Ładna rzecz - powiedział z uznaniem. - Czy to pański?

Kruszewski potrząsnął głową.

- Nie. Na mnie za mały. To Edwarda.

- Piękny płaszcz - Suhecki aż cmoknął zachwycony. - To pewnie komisowy ciuch.

- O ile się orientuję, to mój przyjaciel przywiózł go sobie w zeszłym roku z Londynu.

- Wobec tego trzeba będzie wybrać się do Londynu - uśmiechnął się Suhecki. - Dziękujemy panu i do widzenia.

Kiedy znaleźli się na ulicy, Grabik spytał:

- No i co ty u tym wszystkim myślisz?

Suhecki skrzywił się:

- Trochę śmierdzi mi ta sprawa.

- Płaszcz?

- Właśnie. I te sportowe buty, które stoją w przedpokoju. Widziałeś?

- Widziałem.

\*

Pani Dorota nie miała ochoty na tę rozmowę.

- Wolałabym, żeby panowie przyszli jak będzie mój mąż. - powiedziała z

zakłopotaniem. - On w takich sprawach...

- To pani już wie w jakiej sprawie chcieliśmy z panią porozmawiać?

Skinęła głową.

- Tak. Właśnie przed chwilą telefonował Adam, to jest mój mąż i powiedział mi wszystko. To straszne. Zaraz do niego zadzwonię, żeby przyszedł.

Suhecki powstrzymał ją ruchem ręki.

- Nie, nie, to zupełnie zbyteczne. Lepiej będzie, jeżeli pani mąż dotrzyma towarzystwa panu Rosickiemu. On w tej chwili potrzebuje koło siebie kogoś bliskiego. My tylko parę słów chcieliśmy z panią zamienić. Nie zabierzemy dużo czasu.

- Proszę, niech panowie wejdą.

Zaprowadziła ich do ładnego, dwuokiennego pokoju, umeblowanego z dużym gustem niedawno wyprodukowanymi „antykami”. Na ścianach obok oryginalnych sztychów angielskich wisiały dwa „rodzinne” portrety zakupione w „Desie”.

Pani Kruszewska wskazała gościom dwa zagraniczne foteliki, sama zaś usadowiła się na kanapce, pokrytej wzorzystym brokatem.

- Panowie oczywiście w sprawie tej strasznej tragedii - powiedziała cicho. - Trudno mi wprost uwierzyć, że to się stało naprawdę.

Suhecki pokiwał głową.

- Tak. Doskonale panią rozumiem. Taka gwałtowna, niespodziewana śmierć to jest cios dla najbliższego otoczenia. Domyślam się, że pani była związana uczuciowo z panią Rosicką.

- To była jedna z moich najlepszych przyjaciółek. Przyjaźniłyśmy się jeszcze w szkole.

- To rzeczywiście dla pani ciężkie przeżycie. Przykro mi, że muszę na ten temat z panią rozmawiać, ale jeżeli chcemy znaleźć mordercę, musimy się spieszyć. Może pani będzie tak dobra i możliwie jak najdokładniej opisz nam wypadki wczorajszego wieczora.

Dorota odetchnęła głęboko.

- No więc tak... Wczoraj były moje urodziny i zaprosiliśmy kilkoro przyjaciół na skromne przyjęcie.

- Ile było osób?

- Dziewięć czy dziesięć. Jeżeli pan sobie życzy, to mogę dokładnie porachować.

- Nie, nie, to zbyteczne. O której przyszła do państwa pani Rosicka?

- Było już chyba po siódmej, może piętnaście, może dwadzieścia. Dokładnie panu nie powiem, ale przypominam sobie, że rozmawialiśmy na ten temat z mężem, że Joanna spóźnia się jak zwykle.

- Czy pani wiedziała o tym, że pan Rosicki jest chory? |

- Oczywiście.

- I nie zdziwiło to panią, że pomimo choroby męża przyjaciółka pani przyszła na przyjęcie?

Kruszewska uśmiechnęła się jakby z jawnym zażenowaniem.

- No wie pan... Być może, że Joanna nie powinna go była zostawiać samego, ale, prawdę mówiąc, nikt nie brał zbyt poważnie tej jego choroby. Edward jest

przezulony, jeżeli chodzi o zdrowie, a poza tym wcale nie miałam pewności, czy on nie chce zrobić Joannie na złość.

- Na złość?

Zmieszała się.

- Nie... no... Bo ja wiem... Myślę, że nie powinnam o tym mówić... To przecież nie należy do sprawy.

- Wprost przeciwnie - zaprotestował żywo Suchecki. - To są bardzo ważne dla sprawy szczegóły. Ze słów pani można wnioskować, że to nie było zbyt dobre małżeństwo.

- Ależ nie, panie kapitanie. Nie sądzę, żeby... Zresztą to są takie intymne sprawy między dwojgiem ludzi, że doprawdy trzeba coś na ten temat powiedzieć.

- A jednak pani powiedziała, że podejrzewała pani pana Rosickiego o złośliwość w stosunku do żony - nalegał Suchecki.

- To mi się tak tylko powiedziało.

- Mniejsza z tym - Suchecki nagle zrezygnował z tego tematu. - Proszę mi powiedzieć, jak w dalszym ciągu rozwijały się wypadki wczorajszego wieczoru.

- Trochę piliśmy, jedliśmy zakąski, następnie ktoś nastawił adapter. Tańczyli. Było wesoło. Potem ktoś zadzwonił. Ja odebrałam telefon. Posłyszałam kobiecy głos. Powiedziała, że mówi Kalinowska z Anina i że w pilnej sprawie musi porozumieć się z Joanną. Poprosiłam więc Joannę. Ta domniemana Kalinowska powiedziała, że matka Joanny jest ciężko chora i że Joanna natychmiast musi przyjechać do Anina. Joanna pożegnała się ze mną i wyszła. To: wszystko.

- Czy pani Rosicka nie zatelefonowała do męża, że jedzie do Anina?- spytał Suchecki.

- A tak, rzeczywiście. Zadzwoniła do Edwarda. Zupełnie o tym zapomniałam. Przepraszam.

- I powiedziała, że wybiera się do matki, do Anina?

- Tak.

- Czy pani słyszała tę rozmowę?

- Tak. Cały czas przykładalam ucho do słuchawki.

- I jest pani pewna, że to był głos pana Rosickiego?

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Czy jestem pewna? Ależ oczywiście, że to był głos Edwarda. Co panu przychodzi do głowy? Przecież to naturalne, że Joanna zatelefonowała do męża, żeby go zawiadomić, że jedzie do Anina i że nie wróci do domu. Nie chciała, żeby się denerwował.

- Nagle zrobiła się taka troskliwa o męża - powiedział Suchecki i zamyślił się. - Więc pani stanowczo twierdzi, że w słuchawce bez żadnych wątpliwości słyszała pani głos pana Rosickiego.

- Oczywiście. Nie mam co, do tego żadnych wątpliwości. Nawet odebrałam słuchawkę Joannie i zamieniłam z nim parę słów. Spytałam jak się czuje.

- A on co odpowiedział? -

- Że nie bardzo i że prawdopodobnie będzie musiał wezwać lekarza.

- Przepraszam, że o to pytam - Suchecki uśmiechnął się z zakłopotaniem - ale chciałbym wiedzieć czy przed tą rozmową telefoniczną panie wypity dużo alkoholu?



- Nooo, sporoo - odparła Dorota, przeciągając sylaby - ale nie byliśmy pijane - dodała pośpiesznie. - Absolutnie byliśmy trzeźwe.

- Ma pani śliczny sweterek - powiedział niespodziewanie Suchecki. - Fioletowy kolor robi się teraz bardzo modny.

Była wyraźnie zaskoczona. Uśmiechnęła się niewyraźnie i odruchowo obciągnęła na sobie golf.

- Nie miałam pojęcia, że pan interesuje się kobiecymi strojami.

- Och, proszę pani, mnie bardzo wiele rzeczy interesuje, nie tylko zagadnienia kryminalne.

- Co na przykład pana interesuje?

- Na przykład to czy pani Rosicka miała kochanka?

Rysy twarzy Doroty gwałtownie stężały.

- I pan sądzi, że pan może się tego dowiedzieć ode mnie?

- Sądzę, że serdeczne przyjaciółki zwierają się sobie nawzajem.

- Gdyby nawet tak było, to nigdy nikomu bym tego nie powiedziała. Nie mam zwyczaju zdradzać cudzych tajemnic.

- Czyżby pani nie chciała, żeby morderca pani Joanny został zdemaskowany? - spytał łagodnie Suchecki.

- Owszem, chcę, ale te sprawy nie mają nic do rzeczy.

- Przykro mi, ale muszę stwierdzić, że pani jest w błędzie. Osobiste życie pani przyjaciółki może mieć bardzo wiele wspólnego z tą zbrodnią. Nie powinna pani zatajać żadnego szczegółu, jeżeli oczywiście chce nam pani pomóc.

- Nic nie wiem o żadnych romansach Joanny - powiedziała zdecydowanie Kruszevska.

- To może pani coś wie o romansach pana Rosickiego? - spytał uprzejmie Suchecki.

Spojrzała na niego z wyraźną niechęcią.

- Nie interesuję się takimi sprawami, proszę pana,

Suchecki przez chwilę przyglądał się pani Dorocie z miną człowieka, zastanawiającego się nad tym czy w dalszym ciągu bawić się z dziećmi w ślepej babkę czy też zakończyć już te igraszki i iść do domu.

- Jeżeli w małżeństwie coś się zaczyna psuć - powiedział bardzo poważnie - to zazwyczaj i jedna i druga strona szuka pocieszenia poza domem.

- A kto panu powiedział, że pomiędzy Joanną a jej mężem coś się psuło? - spytała agresywnie Kruszevska.

- Pani - odpowiedział z rozbijającym uśmiechem Suchecki.

- Ja?

- Tak, pani. Przecież nikt inny nie powiedział mi, że pan Rosicki mógł zaplanować chorobę tylko po to, żeby zrobić na złość swojej żonie. Takie posunięcie nie świadczy o idealnej harmonii panującej między małżonkami.

- Chwyta pan mnie za słowa!

- Nic podobnego. Powtarzam tylko zupełnie obiektywnie pani sformułowanie; a prawidłowy wniosek chyba nietrudno wyciągnąć. Nie traćmy jednak czasu na jałowe, akademickie dyskusje. Czy pani jest skłonna powiedzieć mi coś na temat osobistego życia pani Rosickiej lub jej męża?

- Powiedziałam już panu, że nic nie wiem na ten temat. Niech pan sobie

wyobrazi, że jestem taką dziwną kobietą, którą nic nie obchodzi z kim kto sypia.

Suchecki wstał.

- Miło nam było panią poznać - powiedział uprzejmie. - Dziękujemy za rozmowę i do zobaczenia. Nie wątpię bowiem, że jeszcze będziemy mieli okazję z panią porozmawiać.

Na ulicy Suchecki wziął porucznika pod rękę i szepnął:

- Zdobyliśmy już sporo informacji. Z kim teraz sobie pogawędzimy? Jak sądzisz?

- Z panią Leokadią.

- Wojtuś, powinieneś zostać dyplomowanym jasnowidzem. Czytasz w moich myślach.

Nie trzeba było zbyt bystrego obserwatora, ażeby stwierdzić, iż pani Leokadia Frączkowska nie była zachwycona widokiem milicyjnych mundurów.

- Ja nic nie wiem. Mnie w ogóle nie było w domu jak ten łajdak Bartosik bił żonę. Nic nie widziałam. Jak Boga kocham.

- Nie będziemy rozmawiać w przedpokoju - powiedział Suchecki. - Po co wszyscy mają słyszeć - dodał ciszej, widząc, że z pobliskich drzwi poczęły się wychylać głowy innych lokatorów „kołchozowego mieszkania”. - Może nas pani zaprosi do siebie?

- Nie mam pojęcia o-czym panowie chcą ze mną rozmawiać - mruknęła niechętnie, ale otworzyła drzwi do swojego pokoju. - Proszę.

Duże, drewniane łóżko, przyozdobione koronkową kapą, mocno sfatygowana szafa na rzeczy, okrągły stół, nakryty kolorową serwetą, kilka krzeseł, a w rogu parawan, zasłaniający dyskretnie miednicę, dzbanek na wodę i inne przybory do mycia. Na ścianach oleodruki o tematyce myśliwskiej i religijnej. Pokój lśnił czystością i był tak strasznie wysprzątanym, że obaj oficerowie pośpiesznie stanęli na przygotowanych suknach, żeby nie zdeptać pracowicie wyfroterowanej posadzki.

Pani Leokadia spojrzała na nich z pewnym uznaniem i podsunęła krzesła.

- Proszę. Panowie siadają - powiedziała łagodniej, dotykając siwych, nieco podfarbowanych na fioletowo włosów, jakby chcąc sprawdzić czy fryzura w porządku.

- Pani nazywa się Leokadia Frączkowska - powiedział Suchecki tonem stwierdzenia.

- Tak.

- I pracuje pani w charakterze gosposi u państwa Rosickich.

- Czy coś zginęło?! - krzyknęła spłoszona. - Ja nic nie wzięłam jak Boga jedyne go kocham. Sześćdziesiąt pięć lat żyje na świecie i jeszcze nie miałam do czynienia z milicją. Ta pani Rosicka jest strasznie roztargniona. Ciągłe coś gubi, zapomina. Położy gdzieś i zapomni. Kiedyś pół dnia szukałyśmy z nią pierścionka i wreszcie znalazłyśmy ten pierścionek w takim pudełeczku gdzie pan trzymał żyletki. Nikt nie wiedział skąd się tam wziął. Musiała sama włożyć i zapomniała. A potem uczciwego człowieka posądza. Wcale nie muszę...

- Ależ nikt panią o nic nie posądza - uspokoił ją Suchecki, który od pewnego czasu próbował bezskutecznie przerwać tę tyradę. - Nic nie zginęło. Proszę się uspokoić.

Leokadia odsapnęła energicznie i spytała:

- Więc o co chodzi?

- Pani Rosicka została zamordowana.

- Jezus Maria! Zamordowana?!

- Ktoś ją udusił jej własną apaszką - dodał porucznik Grabik, chcąc nadać tej wiadomości bardziej plastyczny kształt.

- To wszystko przeze mnie - jęknęła zrozpaczona gosposia - To moja wina, Boże zmiłuj się nade mną. To moja wina.

- Jak to pani wina? - zdumiał się Suchecki - Co pani wygaduje.

Leokadia zaczęła płakać. Chlipała cicho, powtarzając przez łzy

- To moja wina... To moja wina... To przeze mnie to nieszczęście.

- Ale dlaczego? Niechże pani wreszcie powie o co chodzi.

Otarła oczy i głośno pociągnęła nosem. Była zupełnie załamana.

- Pani szła na przyjęcie - zaczęła słabym głosem swoją opowieść. - Szła na przyjęcie i w ostatniej chwili przypomniała sobie, że apaszka nie odprasowana. Kazała mi odprasować. A ja się śpieszyłam do siostry na telewizję i już było późno. To mnie diabli wzięli, że jeszcze muszę prasować tę cholerną apaszkę i zaczęłam przeklinać, tak oczywiście cicho, pod nosem, żeby nikt nie słyszał. Powiedziałam: „A żeby cię pokreśliło razem z tą apaszką”. No i masz. W złą godzinę wypowiedziałam. Biedna pani Rosicka. Nie była zła kobieta, a zresztą jaka by nie była zawsze człowieka żal. Udusili ją tą apaszką. O Matko przenaświętsza...

Znowu zaczęła płakać. Musieli chwilę odczekać, aż się uspokoi. Suchecki nie chciał działać zbyt energicznie.

Znowu pociągnęła nosem i zwróciła ku nim zaczerwienione oczy.

- Pójdę na pogrzeb - powiedziała - A kiedy będą ją chować?

Suchecki odparł, że data pogrzebu jeszcze nie została ustalona i zaproponował, żeby porozmawiali o czym innym.

- O czym tu rozmawiać? Biedaczka nie żyje i koniec. Nie ma o czym mówić. Wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie a światłość wiekuista...

- Prowadzimy dochodzenie w tej sprawie - przerwał jej Suchecki ten pobożny nastrój. - Musimy znaleźć mordercę. Przyszliśmy prosić panią o pomoc.

Wyprostowała się w poczuciu własnej wartości.

- O pomoc? Mnie?

- Tak. Może nam pani bardzo dopomóc w naszej pracy.

- Ale w jaki sposób? Ja się nie znam na morderstwach.

- Wiemy, że pani nie zna się na morderstwach, ale za to znała pani panią Rosicką.

- No to co z tego?

- Długo pani pracuje u państwa Rosickich?

- Będzie już pewnie ze cztery lata.

- Cztery lata to kawał czasu. Można dobrze poznać ludzi. Jestem pewien, że może nam pani udzielić wielu cennych informacji.

Nastrożyła się.

- Ja tam nie lubię plotkować, proszę pana.

- Nie chodzi o plotkowanie. Wszystkim nam przecież zależy na tym, żeby

morderca poniósł zasłużoną karę. Potrzebne nam są wiadomości dotyczące życia świętej pamięci Pani Rosickiej, które dopomogą nam do schwytania zbrodniarza.

Skinęła głową.

- To prawda. Ale cóż ja mogę panom takiego powiedzieć?

- Więc przede wszystkim może nam pani powie czy pani Rosicka dobrze żyła ze swoim mężem czy źle?

Wzruszyła ramionami.

- Ja się tam do takich rzeczy nie wtrącam, ale dobrze to oni ze sobą nie żyli. Tak mi się widzi, że chyba ona chciała się z nim rozejść. A bo to, proszę pana, jak małżeństwo nie ma dzieci to nigdy nie jest dobrze. Jak się pobierają to i dzieci być powinny. Wtedy całkiem inne życie, rodzina...

- Czasem i dzieci są i nie ma zgody w małżeństwie - powiedział Suchecki - Ale dlaczego właściwie państwo Rosiccy źle ze sobą żyli? Jak się pani zdaje?

- Bo ja wiem? Tak jakoś. Chyba nie pasowali do siebie.

- Dlaczego nie pasowali?

- Trudno mi powiedzieć. No po prostu nie zgadzali się. Tak już bywa, że się ludzie nie dobiórą.

- Czy pan Rosicki zdradzał żonę?

Leokadia zaczerwieniła się i skromnie spuściła oczy.

- Ja tam takimi rzeczami nie interesuję się.

- Proszę pamiętać o tym, że tu chodzi o wykrycie sprawcy morderstwa - powiedział energicznie Suchecki - Nie możemy się bawić w żadne delikatności. I bardzo proszę żeby pani mówiła prawdę. Jeżeli pani nie będzie chciała z nami szczerze rozmawiać, to zabierzemy panią do komendy i zostanie pani poddana urzędowemu przesłuchaniu.

Spłoszyła się.

- Ależ nie muszą mnie panowie zawozić do komendy. Ja wszystko powiem co tylko będę mogła powiedzieć.

- To świetnie. A więc proszę nam powiedzieć czy pani zauważyła, że pan Rosicki miał jakieś przyjaciółki. Może odbierała pani telefony?

- Owszem. Telefonowały różne baby, jak pani wyjechała na urlop, ale je przepędziłam i przestały telefonować. Każdej jednej mówiłam żeby nie zawracały głowy żonatemu człowiekowi i żeby się odczepiły. Potem był spokój z tymi telefonami.

- Wspomniała pani, że pani Rosicka miała zamiar rozejść się ze swoim mężem.

- Bo tak faktycznie było.

- Może chciała wyjść za mąż za kogoś innego?

- Chyba za tego Rysia?

- Za jakiego Rysia?

- Taki jeden malarz. Ale po mojemu to on się na męża nie nadaje.

- A skąd pani wie, że ktoś taki w ogóle istniał w życiu pani Rosickiej?

- Po pierwsze sama mi powiedziała, a po drugie dwa razy nosiłam do niego list, jak mu się telefon popsuł i pani Rosicka nie mogła się dodzwonić.

- Sama pani powiedziała?

- A tak. Kiedyś pan wyjechał służbowo i byliśmy we dwie w domu. Pani

wróciła po obiedzie z Grand Hotelu trochę pod gazem i zaczęła ze mną tak szczerze rozmawiać: że ma już dosyć tego Edwarda, że musi się wreszcie z nim rozwieść, że stworzy sobie nowe życie. Spytałam, czy chce się wydać za kogo innego a ona na to, że może wyjdzie za Rysia, bo to taki postawny i przystojny mężczyzna. Postawny i przystojny to on faktycznie jest, ale te jego malowidła...

- Widziała pani jego obrazy?

- A jakże. Jak do niego przyszłam z tym listem, to mi zaczął pokazywać. Był na dużej bani i widocznie dlatego tak mi się chwalił. Ale ja się tam na to nawet patrzeć nie chciałam i uciekałam. Takie obrazy maluje, proszę pana, że człowiekowi włosy, na głowie stają.

- Jak się nazywa ten artysta?

- Ryszard Wardecki. Mieszka na Nowym Mieście. Tylko niech panowie nie mówią, że to ja...

- Może być pani zupełnie spokojna. Dyskrecja zapewniona. I jeszcze chciałbym panią o coś zapytać. Czy pani czyści buty panu Rosickiemu?

Była bardzo zdziwiona.

- Buty? Oczywiście, że czyszcę. A dlaczego miałabym nie czyścić? Kupuję zawsze tę pastę skolimowską z takim kotem na pudełku. Też świństwo, ale jeszcze lepsze od innych. Przed wojną to były pasty. „Dobrolin” alb „Kiwi”...

- Czy pani czyściła ostatnio takie sportowe, brązowe buty?

- Te co to pan kazał sobie zrobić na obstalunek za tysiąc pięćset złotych. Pewnie, że czyściłem. Wczoraj rano. Ale dlaczego pan pyta?

- Bo chciałem się właśnie dowiedzieć, jakiej pasty pani używa, żeby buty tak się fantastycznie błyszcząły.

- Pasta pastą, a trzeba umieć czyścić, proszę pana. Nie każdy potrafi. Ja każde buty wyczyszcę na lakierki. Mam swój sposób, ale nie powiem.

- Szkoda - westchnął Suhecki. - Chętnie poszedłbym do pani na przeszkolenie. Mnie nigdy nie udaje się tak butów wyczyścić. Chciałbym się jeszcze od pani dowiedzieć czy pan Rosicki ma jakiegoś stałego, zaprzyjaźnionego lekarza, u którego się leczy?

- Oczywiście. Pan Rosicki stale lata do pana doktora Stasiewicza. Lubi się leczyć. Bez przerwy łyka jakieś pigułki, bierze zastrzyki. Ja to nienawidzę zastrzyków. Jak mnie co boli, to ziółek sobie zaparzę. Na żołądek bardzo dobrze mięta mi robi, a znowu na gardło szalwia. Można także dodać trochę rumianku.

- Gdzie mieszka doktor Stasiewicz? - spytał spokojnie Suhecki.

- Gdzieś na Mokotowie. Dokładnie panu nie powiem, bo nie wiem.

- Czy pani Rosicka знаła doktora Stasiewicza?

- Pewnie, że znała. Jak pan był chory i leżał w łóżku, to doktor przychodził do niego.

Suhecki porozumiewawczo spojrzał na porucznika i wstał.

- Bardzo pani dziękujemy za rozmowę. Jeżeli przypomniałoby się pani coś ważnego prosimy odwiedzić nas w Komendzie Miasta, w pałacu Mostowskich.. Niech pani zapisze sobie nasze nazwiska: kapitan Suhecki i porucznik Grabik.

Na schodach Suhecki powiedział:

- Zawsze twierdzę, że dwa są najlepsze źródła informacji: gosposia i dozorca.

Doktor Stasiewicz był eleganckim starszym panem, o twarzy rzymskiego senatora. Spojrzenie jego ciemnych oczu miało w sobie dużo wyrozumiałości, z domieszką leciutkiego sarkazmu. Mówił wolno, wyraźnie akcentując każde słowo, jakby upajał się dźwiękiem swego głosu. Z całej jego postaci emanowała ta pewność siebie, jaką dają pieniądze i pozycja społeczna.

- Spodziewałem się wizyty panów - powiedział, kiedy usiedli w głębokich, klubowych fotelach.

- To pan już wie o śmierci pani Rosickiej.

- Tak. Dzwonił do mnie pan Rosicki i zawiadomił mnie o tej tragedii. Byłem u niego.

- W jakim stanie znalazł pan pana Rosickiego? - spytał Suhecki.

- No cóż... - Stasiewicz rozłożył ręce. - Nie najlepszy stan nerwów, ale w tej sytuacji to przecież zrozumiałe.

- A jak z sercem? Podobno wzywał w nocy pogotowie.

- To chyba była jakaś zupełnie przejściowa dolegliwość. Ja nie stwierdziłem nic poza zwykłą nerwicą, na którą zresztą pan Rosicki od dawna cierpi.

- Czy to coś poważnego?

- Nie. W dzisiejszych trudnych czasach wszyscy mamy trochę tej nerwicy, a ci, którzy przeżyli wojnę... Trzeba oczywiście prowadzić odpowiedni tryb życia, przestrzegać diety, od czasu do czasu odbyć jakąś kurację.

- Od jak dawna przyjaźni się pan z państwem Rosickimi, panie doktorze?

Stasiewicz uśmiechnął się.

- To jest niezbyt ściśle sformułowanie. Od kilku lat opiekuję się panem Rosickim. Panią znałem bardzo słabo. Widziałem ją parę razy, kiedy odwiedzałem chorego. Trudno to nawet nazwać znajomością.

Suhecki był trochę zawiedziony.

- Z tego wynika, że nie może nam pan udzielić właściwie żadnych informacji, dotyczących pani Rosickiej.

- Obawiam się, że nie. Nie wiem nic takiego, co by panom mogło dopomóc w śledztwie.

- Chciałbym panu zadać pewne niedyskretne pytanie, panie doktorze - uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem Suhecki, pragnąc życzliwie usposobić do siebie swego rozmówcę. - Chodzi mi mianowicie o to, czy pan Rosicki nie zwierzył się panu kiedyś ze swoich małżeńskich kłopotów? Interesują mnie ewentualne flirty pani Rosickiej.

Doktor Stasiewicz przez chwilę przyglądał się z ogromną uwagą swoim niezwykle starannie wypielęgnowanym paznokciom.

- Wydaje mi się, panie kapitanie, że w tej sprawie będzie pan musiał porozumieć się bezpośrednio z panem Rosickim. Zapewne panu wiadomo, że lekarza obowiązuje tajemnica zawodowa i gdyby nawet pan Rosicki zwierzał mi się kiedykolwiek z przyczyn swych stanów nerwicowych, to nic mnie nie upoważnia do tego, żeby z kimkolwiek rozmawiać na ten temat.

- Nawet jeżeli w grę wchodzi morderstwo?

- Tak, Nawet w tym wypadku. Co innego gdyby został zamordowany mój pacjent...

- Wydaje mi się, panie doktorze, że ma pan trochę dziwne pojęcie o swoich

obowiązkach - powiedział chłodno Suchecki, którego zaczynała zawodzić zwykła pogoda ducha i cierpliwość.

Stasiewicz skinął głową uprzejmie.

- Być może. Zresztą ocena pewnych stanowisk jest zawsze niezmiernie relatywna. Na pocieszenie mogę pana zapewnić, panie kapitanie, że naprawdę nic mi nie wiadomo o życiu osobistym pani Rosickiej.

- Czy pan Rosicki często przychodził do pana w charakterze pacjenta?

- Co parę miesięcy. Przeciętnie, cztery, pięć razy do roku. To jest człowiek, który bardzo dba o swoje zdrowie.

- Kiedy był u pana po raz ostatni?

- W zeszłym tygodniu.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, jakie leki przepisał pan wtedy panu Rosickiemu? Jeżeli oczywiście to nie wchodzi w zakres tajemnicy lekarskiej.

Twarz doktora Stasiewicza przybrała wyraz pełen godności.

- Pan Rosicki nie cierpi na żadną taką chorobę, która wymagałaby ze strony lekarza specjalnej dyskrecji. O ile pamiętam przepisałem wtedy jakąś kurację ogólnie wzmacniającą, chyba „Cocarboxylazę”. Jeżeli panu na tym zależy, mogę sprawdzić, ale...

- Byłbym panu doktorowi niezmiernie wdzięczny.

Stasiewicz podniósł się bez pośpiechu. Ruchy miał starannie wyreżyserowane. Podeszedł do półki i zdjął z niej drewnianą kartotekę.

Przez chwilę przerzucał tekturowe karty rejestracyjne i wreszcie powiedział:

- Tak. To były zastrzyki „Cocarboxylazy” na przemian „Biotiminą”. Chodziło o uspokojenie systemu nerwowego i o wzmocnienie mięśnia sercowego.

- Dziękuję panu, panie doktorze - powiedział z uprzejmym uśmiechem Suchecki, który zdążył już odzyskać swą przysłowiową cierpliwość. - I jeszcze jedno i ostatnie pytanie. Czy pan Rosicki nie prosił pana wtedy o przepisanie leku dla swojego znajomego lub przyjaciela?

Stasiewicz zmarszczył brwi.

- Zaraz, chwileczkę. Muszę sobie przypomnieć. Tak, rzeczywiście, pan Rosicki prosił mnie o przepisanie leku dla jakiegoś przyjaciela, cierpiącego na astmę. Ale co to wszystko ma wspólnego z zamordowaniem pani Rosickiej?

Suchecki zignorował to pytanie.

- Jak się nazywa ten lek przeciwko astmie?

- „Belladrinal”. Ma pan dziwną metodę prowadzenia śledztwa, panie kapitanie.

Suchecki westchnął.

- Ja w ogóle jestem trochę dziwny. Nie tylko pan, mi to powiedział, panie doktorze. Czasem mi się zdaje, że ze mną coś jest nie w porządku. Wie pan... Ciągłe człowiek ma do czynienia z morderstwami, z trupami... To wcale nie jest takie wesołe: Po jakimś czasie można dostać niezłego szmergla.

- Jeżeli pan sobie życzy, mogę panu dać adres doskonałego neurologa - powiedział poważnie doktor Stasiewicz. - W takich przypadkach należy jak najwcześniej zacząć kurację.

- Dziękuję panu. W najbliższym czasie nie omieszkam poprosić o ten adres.

W tej chwili bardzo się już śpieszymy.

Stasiewicz wstał i odprowadził swych gości do przedpokoju.

Na ulicy Suchecki trącił- w ramię przyjaciela i spytał:

- Dlaczego masz taką niezadowoloną minę?

Grabik skrzywił się jeszcze bardziej.

- Po jakiego diabła powiedziałeś mu o tym szmerglu? Facet teraz będzie latał po mieście i opowiadał, że w milicji pracują wariaci.

- Niech opowiada - roześmiał się Suchecki. - Mam jednak nadzieję, że naszej rozmowy nie powtórzy Rosickiemu.

- Pod warunkiem, że nie ma z nim jakiejś poważniejszej sitwy - powiedział porucznik.

Suchecki spojrzał na niego uważnie.

- Do diabła - mruknął. - Przyznam- ci się, że tego nie wziąłem pod uwagę.

Wydaje mi się, że ja rzeczywiście zaczynam w piętę gonić.

Pani Leokadia mówiła prawdę. Ryszard Wardecki był rzeczywiście bardzo przystojnym i atrakcyjnym młodym człowiekiem. Wysoki, świetnie zbudowany, miał szerokie, muskularne ramiona, na których osadzona była trochę za mała głowa, ozdobiona imponującą jasno-blond czupryną. Pociągła, orla twarz miała w sobie coś drapieżnego, a ciemne, błyszczące oczy osadzone dość blisko nosa całkowicie uzasadniały to ornitologiczne skojarzenie.

Suchecki postanowił bez asysty odwiedzić malarza. Włożył cywilne ubranie, zamiast pistoletu wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki „piersiówkę” napełnioną koniakiem i pojechał na Nowe Miasto.

Dzwonił długo i bez skutku. Już zaczynał myśleć o odwrocie, kiedy nagle przyszło mu do głowy, że można przecież nacisnąć klamkę. Pomysł okazał się wprost genialny. Drzwi otworzyły się posłusznie, przeciągłym skrzygnięciem dając znać gospodarzowi, że ktoś obcy nadchodzi. Gospodarz jednak był tak zaabsorbowany pracą twórczą, iż nie tylko dyskretne skrzygnięcie drzwi, ale nawet wybuch bomby wodorowej nie byłby w stanie oderwać go od sztalug.

Korytarz był długi i dosyć szeroki. Na jego końcu lśnił słonecznym blaskiem duży prostokąt, który okazał się wejściem wiodącym do przybytku sztuki. Oprócz promieni słonecznych z tego prostokąta wydobywały się również soczyste przekleństwa wypowiedane dźwięcznym barytonem oraz sopranowe popiskiwanie.

Sucheckiemu zrobiło się nieswojo. Przypuszczał, iż niefortunnie trafił na jakąś rodzinną scenę. Zawahał się. Nie był pewny czy nie należało odłożyć rozmowy z malarzem do stosowniejszej chwili. Zdawał sobie jednak doskonale sprawę z tego, że jedynie błyskawiczne działanie może zapewnić mu powodzenie w całej tej sprawie. A jeżeli za każdym razem trafi na taką awanturę to co wtedy? Postanowił zaryzykować. Automatycznym ruchem dotknął piersiówki, tkwiącej w kieszeni marynarki, i energicznym krokiem wszedł do pracowni.

Już w progu stanął zaskoczony tym co zobaczył. To nie była żadna kłótnia rodzinna. Przy sztalugach siedział w poplamionym kitlu młody malarz i manewrując grubym pędzlem kłął na czym świat stoi. W pewnym zaś oddaleniu na starym gdańskim kredensie, a ściślej mówiąc na dolnej jego części, leżała w przedziwnej pozie zupełnie naga modelka, chichocząc i popiskując z uciechy



cienkim głosem. Po krótkiej chwili Suchecki zorientował się na czym polegał konflikt. Malarz się wściekał, że modelka ciągle zmienia pozycje swego chudego ciała, co uniemożliwiało mu konsekwentną pracę.

Oboje spostrzegli niespodziewanego gościa, ale żadne z nich nie zwróciło na niego najmniejszej uwagi. W dalszym ciągu młody artysta kłął szpetnie, a gołe dziewczę kręciło się, popiskując wesoło. Suchecki postąpił parę minut, ale wreszcie doszedł do wniosku, że należy coś przedsięwziąć.

Chrząknął, kaszlnął, ale ponieważ te odgłosy nie wzbudziły niczyjego zainteresowania podszedł bliżej, stanął przed sztalugami, wolno, demonstracyjnie wyjął z kieszeni efektowną „piersiówkę” i zaczął odkręcać gwintowaną zakrętkę. Następnie przytknął szyjkę butelki do ust i pociągnął mały łyk.

Efekt był natychmiastowy. Malarz odłożył pędzel i powiedział rozkazująco:

- Na dzisiaj dosyć. Kazia ubieraj się. - Po czym uśmiechnął się przyjacielsko nie wiadomo czy do swego gościa czy też do „piersiówki”, wstał, zrobił parę kroków i wyciągnął dłoń zakończoną długimi, niezbyt czystymi palcami.

- Cześć. Skąd my się znamy? Bo tak w pierwszej chwili nie mogę sobie przypomnieć. Czy to nie wtedy w „Spatifie”? Zalaliśmy się na trupa z Waciem. Pamięta pan?

Suchecki nie podjął tego tematu. Poglądził butelkę i spytał:

- Czy ma pan może jakieś naczynia, żeby nalać koniaczek? Niezły.

Artysta zniknął za kotarą, zasłaniającą zapewne sprzęty użytku domowego i po chwili wrócił z dwiema musztardówkami.

- Pan wybaczy, że nie mam koniakowych kieliszków, ale...

- Nie szkodzi - uspokoił go Suchecki. - Grunt, żeby było szkło. Kształt nieważny.

W międzyczasie dziewczyna ubrała się i wybiegła w podskokach, nucąc jakąś piosenkę.

Malarz popatrzył w ślad za nią, skrzywił się z niesmakiem i mruknął:

- Głupia jak but. Do niczego się nie nadaje. - Zaraz jednak rozchmurzył się, odebrał Sucheckiemu butelkę i napełnił koniakiem musztardówki. - Pańskie zdrowie, panie... panie...

- Ignacy - podsunął mu Suchecki.

- No prawda Ignaś! Jakżeż mogłem zapomnieć?! Ignaś Tomczyk!

- Wprawdzie nie Tomczyk, ale Ignacy. Moje nazwisko Suchecki.

Malarz wypił pół szklanki koniaku, a następnie podniósł wzrok ku górze, jakby szukał czegoś na brudnym suficie.

- Suchecki, Suchecki - powtórzył w zamyśleniu. - Nie przypominam sobie, żebym pana znał. Może to skleroza, ale rzeczywiście nie przypominam sobie.

- Bo też pan mnie nie zna.

Wardecki zwrócił swą orlą twarz ku mówiącemu.

- Mówi pan, że ja pana nie znam? Z tego by wynikało, że pan mnie także nie zna.

- Zgadza się.

- Dziwny z pana człowiek. I tak do nieznanego faceta przychodzi pan z butelką koniaku?

- A czy pan nigdy nie pił w towarzystwie nieznanym ludzi?

- Muszę przyznać, że zdarzało mi się...

- No widzi pan. Zawarcie znajomości to przecież tylko czysta formalność.

Malarz jednym haustem opróżnił musztardówkę, z zadowoleniem mlasnął językiem i uśmiechnął się życzliwie.

- Jak pan się tu dostał? - spytał, ocierając wierzchem dłoni wilgotne wargi.

- Wszedłem po schodach.

- Hm. Pański sposób prowadzenia rozmowy nazwałbym niebanalnym.

Suchecki skromnie spuścił oczy.

- Staram się nie wpadać w utarty szablon.

- Ale czego pan właściwie chce? - Pytanie padło nagle i zabrzmiało niezbyt uprzejmie.

- Chcę się od pana pewnych rzeczy dowiedzieć. Czy można panu nalać jeszcze koniaczku?

- Nie, dziękuję - Wardecki energicznym ruchem zakrył swą szklanekę. - Najpierw chciałbym się zorientować o co chodzi. Kim pan jest? I czego pan szuka w mojej pracowni?

- Widzę, że będę zmuszony przenieść naszą miłą pogawędkę na teren bardziej oficjalny. Otóż proszę przyjąć do wiadomości, że jestem z komendy milicji i przychodzę do pana w sprawach służbowych.

Malarz w jednej chwili zeszytniał. Jego ptasie oczy zrobiły się, czujne.

- Czy pan zawsze w sprawach służbowych przychodzi z koniakiem w kieszeni?

Suchecki uśmiechnął się.

- Nie zawsze. Miałem akurat przy sobie tę „piersiówkę” i pomyślałem, że nie odmówi mi pan skromnego poczęstunku.

- Chciał mnie pan upić?

Tym razem Suchecki parsknął śmiechem.

- Czy sądzi pan, mistrzu, że dwóch dorosłych mężczyzn może się upić tą ilością alkoholu?

Argument był celny. Wardecki nie znajdował kontrargumentu. Spojrzał na butelkę.

- Więc czym mogę panu służyć? - spytał nagle bardzo uprzejmie.

- Chodzi o pańską znajomą, o panią Joannę Rosicką.

- Nie znam takiej pani.

Suchecki potrząsnął głową. Na jego twarzy malowało się zmęczenie.

- Niech pan da spokój. To są przecież dziecinne wykręty. Nie wyobraża pan sobie przecież, że przyszedłem tutaj, nie mając absolutnie żadnych informacji. Doskonale się orientuję, że pan zna panią Rosicką. Pragnę też pana ostrzec, że, zaprzeczając oczywistym faktom, może się pan narażać na bardzo poważne nieprzyjemności.

- O jakich nieprzyjemnościach pan mówi?

- Na przykład, że pan może się znaleźć w kręgu ludzi podejrzanych o popełnienie zbrodni.

- O popełnienie zbrodni?!

- Tak. Pani Joanna Rosicka została zamordowana.

Malarz pochylił się do przodu i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jego gardła. Zdumienie, zaskoczenie i niedowierzanie odmalowało się na jego twarzy.

„Jeżeli gra, to robi to znakomicie”, pomyślał Suhecki, głośno powiedział:

- Pani Joanna Rosicka została zamordowana.

- Niesłychane. Nie mogę w to uwierzyć. Kiedy to się stało?

- Ostatniej nocy.

- W mieszkaniu?

- Nie. Poza domem. Ale to nie ma znaczenia. Przyszedłem do pana, żeby porozmawiać na temat pani Rosickiej. Chyba pan już nie ma zamiaru zaprzeczać, że pan ją znał.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Ale dlaczego pan nie chciał się przyznać do tej znajomości?

Wardecki już całkowicie odzyskał swą pewność siebie.

- Zapewne nie jest panu obce słowo gentleman. Otóż niech pan sobie wyobrazi, że od niejakiego czasu pragnę nagiąć swą osobowość do tego terminu. Nie jestem pewien czy mi się to udaje, ale robię co mogę.

- Innymi słowy: chciał być pan dyskretnym.

- Można to i tak określić. Nie mam zwyczaju chwalić się znajomościami z kobietami, a tym bardziej jeżeli wchodzi w grę mężatka.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że był pan bliskim przyjacielem pani Rosickiej?

- Pozostawiam to pańskiej domyślności, panie majorze.

- Nie jestem majorem, jestem kapitanem.

Malarz uśmiechnął się przepaszająco.

- Proszę mi wybaczyć, ale to cywilne ubranie nie pozwala mi dokładnie określić pańskiej szarży. Zresztą nie wątpię, że w najbliższym czasie awansuje pan na majora. Mając taką technikę w operowaniu koniakiem...

- Może pan pozwoli jeszcze kropelkę? - zaproponował Suhecki puszczając mimo uszu tę złośliwość.

Malarz potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję. Straciłem ochotę.

- W ogóle stracił pan humor odkąd się pan dowiedział, że jestem funkcjonariuszem milicji. Nie wiem dlaczego. Czyżby pan nie lubił milicjantów?

- Nie przepadam za żadnymi urzędnikami państwowymi - skrzywił się Wardecki. - A zresztą to chyba nieważne kogo ja lubię a kogo nie.

Suhecki skinął głową.

- Ma pan rację to nie jest zasadnicza sprawa. Żeby panu nie zabierać zbyt dużo czasu, może wrócimy do pani Rosickiej. Przede wszystkim ustalmy sobie pewne fakty. Co pan robił ostatniej nocy?

Malarz niecierpliwym ruchem wzruszył ramionami.

- Jeżeli podejrzewa mnie pan o to, że zamordowałem Joannę, to szkoda pańskiej fatygi i obawiam się, że pan nie awansuje na majora.

- O nic pana nie podejrzewam - powiedział spokojnie, a nawet łagodnie Suhecki. - Po prostu ustalam fakty. To wchodzi w zakres moich obowiązków służbowych. Nie odpowiedział mi pan na pytanie: Co pan robił ubiegłej nocy?

- A co miałem robić? Spałem.

- Tutaj?

- Tak tutaj. To jest moje mieszkanie.

- Sam pan spał?

- A co to pana obchodzi? Jeszcze takich przepisów nie ma żebym się musiał opowiadać milicji z kim spałem.

- Ja nie pytam z kim pan spał tylko spytałem czy pan sam spał? - sprostował cierpliwie Suchecki.

- Niech pan sobie wyobrazi, że sam spałem. Tak się cnotliwie prowadziłem ubiegłej nocy. A wie pan dlaczego? Bo miałem cholernego kaca. Musiałem odespać. Nie w głowie mi były żadne figle.

- O której pan się położył?

- Bo ja wiem. Chyba około dziesiątej.

- Czy pani Rosicka nie dzwoniła do pana wczoraj wieczorem?

- Nie. Dlaczego miała dzwonić?

- Nie wiem. Tak spytałem.

- Nie dzwoniła. Nie dzwoniła - powtórzył z dziką gwałtownością Wardecki. Jego barytonowy głos zabrzmiał nagle nieomal falsetem.

Suchecki podniósł brwi do góry. Jego okrągła twarz wyrażała najwyższe zdumienie.

- Dlaczego pan mnie się boi? - spytał miękko.

- Ja. Boję się pana? Nic podobnego.

- Ależ tak. To jest tak widoczne, że tu nie pomogą żadne zaprzeczenia. Raz pan nie może zapanować nad niepokojem, to znowu staje się pan dziwnie agresywny, jak człowiek, który chce w jakiś sposób pokryć swoje zmieszanie. Pan się mnie po prostu boi, drogi mistrzu i nie mam pojęcia dlaczego?

Młody człowiek wstał, podszedł do sztalug, wziął do ręki pędzel i zaczął udawać, że poprawia swój obraz. Opalona twarz skurczyła się mu gniewem. Widać było, że usiłuje zapanować nad sobą.

Suchecki odczekał chwilę, schował „piersiówkę” do kieszeni i także wstał.

- Czy jest pan skłonny zamienić ze mną jeszcze kilka słów? - spytał, nadając swemu głosowi możliwie jak najuprzejmiejszy timbre.

- Widzi pan przecież, że jestem zajęty - warknął malarz, poza tym męczyła mnie już rozmowa z panem.

- W porządku jutro otrzyma pan oficjalne wezwanie do komendy, a może nawet przyślę po pana któregoś z moich współpracowników. Jeżeli pan nie umie przy lampce koniaku spokojnie porozmawiać, to będę zmuszony do urzędowego postępowania.

Wardecki odłożył pędzel.

- Czego pan chce ode mnie, u diabła! Ja nie zamordowałem Joanny i niech mi pan da wreszcie święty spokój.

- Niech pan siada. - Głos Sucheckiego zabrzmiał tak zdecydowanie, że malarz bez sprzeciwu wykonał polecenie.

- Czego pan chce ode mnie? - powtórzył słabo.

- Chcę się od pana dowiedzieć o pani Rosickiej. To chyba zrozumiałe. Prowadzę śledztwo w sprawie tego morderstwa i bardzo się dziwię, że pan nie

może pojąć najprostszych rzeczy i że mi pan utrudnia pracę.

- Wcale panu nie mam zamiaru utrudniać pracy.

- Bardzo się cieszę. Widzę, że wreszcie porozumieliśmy się. Może pan wobec tego zechce odpowiedzieć na kilka pytań.

- Nie wiem czy będę mógł i czy będę chciał odpowiedzieć na pańskie pytania.

- Znowu pan zaczyna?

- No dobra. Niech pan pyta.

- Więc przede wszystkim chciałbym wiedzieć, co pana łączyło z panią Rosicką poza sprawami natury romantyczno-uczuciowej.

Malarz zachnął się. Jego ptasia twarz nabrała wyrazu czujności.

- A cóż mnie mogło z nią łączyć?

- Tego nie wiem - uśmiechnął się Suchecki. - Chciałbym się od pana dowiedzieć.

- A dlaczego pan przypuszcza, że mnie w ogóle coś łączyło z kobietą poza przelotnym flirtem? - spytał Wardecki, siląc się na obojętny ton.

Suchecki nie przestawał się uśmiechać.

- To są już tajemnice mojego zawodu. Bardzo żałuję, ale pewnymi moimi spostrzeżeniami nie mam zamiaru się z nikim dzielić.

Malarz roześmiał się niezbyt szczerze.

- Odgrywa pan ogromnie tajemniczego „tajnego agenta”. Jeżeli mam być szczerzy, to bardzo pasuje pan do tej roli.

Suchecki nie podjął tego tematu. Spytał:

- Jak długo znał panią Rosicką?

- Parę lat. Może dwa, może trzy lata. Nie prowadzę terminarza ani nie piszę pamiętnika. A czas tak szybko upływa...

- Czy inżynier Rosicki domyślał się, że jego żona i pan...?

- Nie wiem. Nigdy się tą sprawą nie interesowałem.

- Czy zna pan osobiście pana Rosickiego?

- Zdaje się, że go kiedyś poznałem.

- I nie przypomina pan sobie dokładnie tego faktu?

Młody człowiek wzruszył ramionami.

- Przyznam się panu, nie pasjonuję się specjalnie mężami moich przyjaciółek.

- Ale pan zapewne od czasu do czasu rozmawiał z panią Rosicką na temat jej męża.

- To się zdarzało oczywiście. Zapewne panu wiadomo, że mężatki uwielbiają rozmawiać z kochankami na temat swoich mężów.

- Tego nie wiedziałem - przyznał szczerze Suchecki. - Ale to nie ma większego znaczenia w naszej sprawie. Chciałbym się jeszcze dowiedzieć czy pan nosił się z zamiarem poślubienia pani Rosickiej.

Malarz zrobił zdziwioną minę.

- Ożenić się? Ja? Takich zamiarów nigdy nie miałem i nie mam. Uważam małżeństwo za przeżytek, za jakąś archaiczną formę współzycia ludzi.

- A może pani Rosicka typowała pana na swego przyszłego męża?

- Nie wiem, ale bardzo wątpię. Joanna chyba doskonale zdawała sobie

sprawę z tego, że ja nie nadaję się na męża.

- I nie robili państwo wspólnych planów na przyszłość?

- Nie.

- Pan został zaskoczony wiadomością o tragicznej śmierci pani Rosickiej?

- Oczywiście. Jak pan w ogóle może pytać?

- A czy pan nie domyśla się komu mogło zależeć na śmierci tej kobiety?

- Nie mam pojęcia!

- Nigdy się panu nie zwierzała, że ma jakichś wrogów, że czegoś się obawia?

- Nie. Zresztą ostatnio widywaliśmy się raczej rzadko.

- Hm. No tak... - Suchecki rozejrzał się. - Ładną pan ma pracownię.

Malarz skrzywił się.

- Tak sobie. Ujdzie w tłoku.

- Dużo pan maluje?

- To zależy. Do tej roboty trzeba mieć nastrój.

- Przyznam się, że zupełnie się na tym nie znam - uśmiechnął się Suchecki. -

Niech mi pan powie, tak w zaufaniu, czy można coś mieć z tego malarstwa? Czy można coś zarobić?

- Z malowania pan nie wyżyje - odparł młody człowiek. - Sztalugowe malarstwo to tylko sława, ale forsy z tego pan nie zobaczy. Czasem ministerstwo coś zakupi, czasem się trafi jakiś prywatny amator sztuki, ale to są sporadyczne wypadki.

- To z czego pan żyje?

Wardecki roześmiał się.

- Z przyzwyczajenia. W naszej brandy można coś nie coś zarobić sztuką użytkową: okładka, etykieta na musztardę albo na majonez i takie tam różne drobiazgi. Czasem jakaś ilustracja.

- To raczej marnie się panu powodzi finansowo.

- Bieda z nędzą, panie kapitanie. Nawet mnie nie stać na tak koniak, jakim mnie pan poczęstował.

Suchecki spojrzął na zegarek.

- No, na mnie już czas. Dziękuję panu za rozmowę i życzę powodzenia w pracy artystycznej - powiedział, wyciągając rękę na pożegnanie. Mocno uściśnął dłoń malarza i szybkim krokiem wyszedł z pracowni.

\*

Jeszcze tego samego popołudnia Suchecki po raz drugi pojechał na Bielany.

Drzwi otworzył mu Rosicki. Miał na sobie ten sam szlafrok, tylko był ogolony, uczesany i pachniał wodą lawendową. Nie okazał zdziwienia. Jego twarz nie wyrażała żadnego uczucia. Była chłodna, obojętna, jakaś drewniana.

- Pan pozwoli, że wejdę pod kołdrę - powiedział, kiedy znaleźli się w pokoju.

- Ależ bardzo proszę - skwapliwie pokiwał głową Suchecki. - Jak pan się czuje, panie inżynierze?

- Tak jak się można czuć w podobnej sytuacji.

- A jak z sercem?

- Chyba lepiej.

- Czy pan sam jest w mieszkaniu?

- Tak.

- Może dobrze by było, żeby ktoś u pana zanocował? Powinien pan poprosić kogoś z przyjaciół.

Rosicki skrzywił się.

- Nie mam ochoty na towarzystwo. Wolę być sam.

- Ale ze względu na stan pańskiego zdrowia...

- Nic mi nie będzie. A zresztą... jeżeli bym nawet umarł to mała strata. Na moim życiu nie zależy ani mnie, ani nikomu.

- Nie trzeba poddawać się pesymistycznym nastrojom - powiedział współczująco Suhecki. - Wszystko przemija. To jest oczywiście truizm, ale czas naprawdę goi najcięższe rany. Odwiedziłem pańskiego lekarza, doktora Stasiewicza.

Rosicki zmarszczył brwi i pytająco spojrzął na swego gościa. Milczał.

- Prosiłem doktora Stasiewicza, żeby otoczył pana specjalną opieką - mówił dalej Suhecki. - To bardzo miły i życzliwy panu człowiek.

- Dziękuję panu za niezwykłą troskliwość - powiedział Rosicki.

Suhecki poprawił się na krześle, założył nogę na nogę i spytał:

- Który z pańskich przyjaciół, panie inżynierze, cierpi na astmę?

- Na astmę? - zdumiał się Rosicki. - Żaden z moich przyjaciół nie cierpi na astmę. Dlaczego pan pyta?

- Ponieważ znam doskonale lekarstwo na astmę dużo lepsze od „Belladrinalu” i od „Bellaponu”.

- Ale skąd panu w ogóle przyszło do głowy, że jakiś mój przyjaciel choruje na astmę? - W głosie Rosickiego brzmiało rozdrażnienie.

- Doktor Stasiewicz powiedział mi, że pan go prosił o receptę na „Belladrinal” dla jakiegoś pańskiego przyjaciela.

- To nieprawda! Nie prosiłem go o żaden „Belladrinal”. Coś mu się musiało pomieszać. Ale o co panu właściwie chodzi, panie kapitanie?

Suhecki przywołał na twarz jeden z tych swoich rozbrajających naiwnych uśmiechów.

- Powiedziałem już panu. Chciałem tylko zaproponować dla pańskiego przyjaciela jakiś inny, bardziej skuteczny środek, co prawda dosyć drogi. Można go dostać tylko w aptece na Pięknej.

- Powtarzam panu, że żaden z moich przyjaciół nie choruje na astmę! - krzyknął Rosicki. - I proszę mi nie zawracać głowy głupstwami. Widzi pan przecież, że jestem wyczerpany nerwowo.

- Przepraszam - powiedział cicho Suhecki. - Nie chciałem panu zrobić przykrości. Zupełnie niepotrzebnie pan się denerwuje.

Wieczorem Suhecki spotkał się w komendzie z Grabi-kiem.

- No i co? - spytał porucznik. - Czy masz już jakiś pogląd na tę sprawę?

Suhecki, który właśnie skończył porządkować swoje notatki, podniósł głowę i zamyślony wzrok utkwiał w twarzy przyjaciela.

- Czy pamiętasz naszą rozmowę z doktorem Stasiewiczem? - spytał.

- Oczywiście, że pamiętam.

- Stasiewicz powiedział, że Rosicki prosił go o receptę na „Belladrinal” jakoby dla jakiegoś swojego przyjaciela cierpiącego na astmę. Rozmawiałem z

Rosickim, który kategorycznie temu zaprzecza.

- Porozumiałeś się w tej sprawie jeszcze raz ze Stasiewiczem?

- Tak. Dzwoniłem do niego.

- No i co?

- Był jakiś niewyraźny. Mówił, że rzeczywiście może coś mu się pomyliło, że może kto inny prosił go o receptę na „Belladrinal”, że nie jest w stanie tak wszystkiego dokładnie pamiętać.

- Ale wtedy nie miał żadnych wątpliwości.

- Nie. Sam przecież widziałeś.

Grabik zapalił papierosa i zaciągnął się dymem.

- Ciekawe, powiedz mi co jest właściwie z tym „Belladrinalem”?

- Lekarstwo na astmę.

- To wiem, ale dlaczego ty się tym tak pasjonujesz?

Suchecki uśmiechnął się.

- Bo widzisz... Od samego początku ten chory inżynier wydał mi się niewyraźny.

- To już mi mówiłeś. Nie rozumiem tylko co z tym wszystkim ma wspólnego lekarstwo na astmę?

- Cierpliwości. Otóż „Beliadrinal” zawiera adrenalinę i przy zwiększonej dawce przyspiesza czynność serca. Łykniesz sobie trzy tabletki i wzywasz pogotowie. Lekarz stwierdza bicie serca, arytmie i takie różne historie. Rozumiesz teraz?

Grabik szeroko otworzył oczy.

- O, do diabła. To mocny numer. Możemy chyba już faceta energiczniej przy dusić.

- Spokojnie. - Suchecki wstał i zaczął chodzić dookoła biurka. - Na energiczniejsze posunięcie zawsze będziemy mieli czas. Trochę go zdenerwowałem tym „Belladrinalem” i zostawiłem go w niepewności. Teraz będzie to wszystko przetrwał, przemyślał i kto wie czy za dwa, trzy dni nie puści farby. Nie potrzebujemy się spieszyć. Facet przecież nigdzie nam nie ucieknie.

Grabikowi zabłyśły oczy. Chwycił przyjaciela za rękę,

- Słuchaj Ignaś, przecież to się wszystko trzyma kupy jak cholera. Płaszcz był mokry, chociaż od tygodnia deszcz nie padał i dopiero w nocy zaczęło padać. Buty zabłocone, chociaż gospościa z całą stanowczością twierdzi, że czyściła je wczoraj. „Belladrinal” przyspieszył czynność serca. Symulacja. Przyjeżdża lekarz pogotowia. Więc doskonałe alibi. Czekać, czekać... - Porucznik nagle się zasepił. - Coś mi tu nie gra.

- Co?

- No bo przecież... W czasie by mu to nie wyszło. Nie zapominaj o tym, że Rosicka telefonowała do niego od tych swoich przyjaciół i zaraz wyszła. Nawet helikopterem nie zdążyłby pod dom Kruszewskich.

- Oczywiście - przyznał zgodnie Suchecki. - Musiałby mieć współnika i niewątpliwie miał, tylko nie współnika w spółniczkę. Przecież wtedy w nocy dzwoniła do Kruszewskich jakaś kobieta, podająca, się za panią Kalinowską z Anina.



Grabik z zapalem pokiwał głową.

- Więc wszystko gra. Rosicki musiał mieć kochankę. Ignac, na co czekamy? Bierzmy się za niego.

- Powoli - uśmiechnął się Suchecki. - Nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany. Przede wszystkim nie ma żadnych danych po temu, żeby przypuszczać, że Rosicki ma kochankę. To są zupełnie luźne domysły i nie jest wykluczone, że okażą się bezpodstawne. Bywają mężczyźni, którzy doskonale potrafią udąć kobiecy głos. Nie wiemy czy Rosicki do nich nie należy. Poza tym bardzo poważnie zastanawia mnie ten malarz.

- No właśnie. Co z Rysiem? - spytał z zaciekawieniem Grabik. - Miałeś go odwiedzić.

- I odwiedziłem go. Facet jest chętny. Wprawdzie nie przeczy, że był kochankiem Rosickiej, ale pierońsko boi się milicji i nie ulega wątpliwości, że ma coś na sumieniu.

- Myślisz, że on mógł...?

- Myślę, że mógł.

- Ale jaki motyw zbrodni?

- O! - Suchecki machnął ręką. - Motywy w takich wypadkach bywają różne. Mogła go czymś szantażować. Mogła wiedzieć onim coś kompromitującego. Odnoszę takie wrażenie, że miał jej już od dawna dosyć. Może chciał się pozbyć kochanki, która mu się znudziła...

Grabik skrzywił się sceptycznie.

- Mój drogi, gdyby wszyscy mężczyźni chcieli wysłać na tamten świat swoje kochanki, które już im się znudziły, to mielibyśmy jedną wielką masakrę.

- Mówię przecież tylko przykładowo - zniecierpliwził się Suchecki. - Różne bywają motywy ludzkiego postępowania. Jedno dla mnie nie ulega żadnej wątpliwości, a mianowicie to, że malarz ma coś na sumieniu i że jest w strachu.

- Może by go wziąć pod obserwację - zaproponował Grabik.

- To nigdy nie zawadzi. A poza tym chciałbym cię prosić, żebyś się nim specjalnie zajął.

- Co masz na myśli?

- Spróbuj się dowiedzieć z czego tak naprawdę facet się utrzymuje. Czy ma jakieś konszachty z ludźmi prowadzącymi podejrzanе interesy? Nasz artysta pragnie uchodzić za człowieka bardzo ubogiego, zarabiającego grosze. To zawsze jest podejrzanе. Zrób maleńki wywiadzik. Przecież ty to potrafisz zgrabnie przeprowadzić.

- Postaram się - Grabik spojrzał pytająco. - Czy to już wszystko, szefie?

Suchecki uśmiechnął się.

- Na razie chyba tak. Aha... i jeszcze jedna sprawa. Zajrzyj przy okazji do Wydziału Spadków przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Pogadaj sobie z nimi. Tam siedzą takie sympatyczne urzędniczki.

- Wydaje mi się, Ignasiu, że chcesz frymarczyć moimi wdziękami - powiedział z udaną powagą Grabik.

### ROZDZIAŁ III

Suchecki dopiero w parę dni po pogrzebie zdecydował się odwiedzić panią

Lipkowską. Staruszka była zupełnie spokojna i opanowana, tylko jej ziemista, wpadnięta twarz świadczyła o tym co przeżyła i co w dalszym ciągu przeżywa. Poczęstowała swego gościa herbatą oraz szarlotką.

- Joasia bardzo lubiła szarlotkę - powiedziała, usiłując się uśmiechnąć. - Proszę, niech pan skosztuje, panie kapitanie. Proszę mi zrobić przyjemność. Sama upiekłam. Może to pana zdziwi, że ja mam głowę do tego, żeby piec ciasto, ale muszę się czymś zająć, koniecznie muszę coś robić. Mam w ogródku chryzantemy. Chciałabym je posadzić na grobie Joasi. Pięknie będą wyglądały. Proszę, niech pan weźmie chociaż kawałek.

Suhecki jadł szarlotkę, która mu z trudem przechodziła przez gardło.

- Znakomita - pochwalił. - Po prostu znakomita.

- Miałam jedno dziecko - powiedziała pani Lipkowską. - To była bardzo dobra dziewczyna. Panie świeć nad jej duszą. No cóż... widocznie tak musiało być. Właściwie to ja już od dawna spodziewałam się wizyty milicji.

Suhecki pochylił głowę.

- Wybierałem się do pani, ale nie chciałem być natrętem w tych ciężkich chwilach. Sądziłem, że lepiej będzie jeżeli nie będę się pani naprzykrzał i poczekam parę dni.

- To bardzo miło z pańskiej strony. Dziękuję.

Suhecki chrząknął. Nie bardzo wiedział jak w delikatny sposób przystąpić do właściwego tematu. Tę trudną sytuację ułatwiła mu pani Lipkowska.

- Domyślam się, że odwiedził mnie pan, żeby porozmawiać o Joannie.

- Właśnie - podjął skwapliwie Suhecki. - Byłbym pani niesłuchanie zobowiązany... Prowadzę dochodzenie w tej sprawie i dlatego...

- Czego pan chciałby się ode mnie dowiedzieć? Proszę pytać.

- Czy córka nie zwierzała się pani z jakichś swoich kłopotów?

- Co pan ma na myśli?

- Na przykład czy rozmawiała z panią na temat swojego małżeństwa?

- Tak. Mówiliśmy czasem na ten temat. To nie było udane małżeństwo. Zresztą ja od początku byłam przeciwna. Nie chciałam, żeby Joasia wychodziła za Rosickiego.

- Czy można wiedzieć, dlaczego pani była przeciwna temu małżeństwu?

- Bo ja wiem. Nie podobał mi się ten człowiek. Jakoś nie miałam do niego zaufania. Zawsze wydawał mi się nieszczerzy, skryty. Nie lubię takich ludzi.

- Jak dawno zaczęło się coś psuć w tym małżeństwie?

- O, to już od paru lat.

- Czy córka pani nosiła się z zamiarem przeprowadzenia rozwodu?

- Tak. Nawet ja sama ją namawiałam, żeby się rozeszła z Edwardem. Uważam, że nie ma sensu męczyć się i ciągnąć, czegoś co się już nie da naprawić. Tym bardziej, że nie mieli dzieci. Nic ich właściwie ze sobą nie łączyło. Działali sobie na nerwy. Więc kiedy stała się niezależna finansowo...

- Niezależna finansowo? - zainteresował się Suhecki - Jak to pani rozumie?

- No tak... Joasia dostała duży spadek. Nie wiem dokładnie, ale myślę, że dwa miliony złotych albo może i więcej.

- Kto zapisał jej taką ogromną sumę?

- Mój brat. Był ogrodnikiem, a właściwie jak to się mówi „badylarzem”.

Zarabiał bardzo dobrze, a na siebie prawie nic nie wydawał. Nie miał żadnej rodziny...

- A dlaczego pani nie zostawił tych pieniędzy?

Uśmiechnęła się smutnie.

- To bardzo dawne czasy. Mój brat nigdy nie mógł mi wybaczyć, że wyszłam za mąż za Lipkowskiego. On nienawidził mojego męża. Były tam kiedyś jakieś sprawy między nimi. Nie będę o tym mówiła. Mój brat był człowiekiem strasznie zawziętym. Nie chciał mnie widzieć. Ale Joasię kochał po swojemu. Nie miał dzieci. Żona mu umarła kilka lat temu. Był zupełnie sam. Wszystko co miał zapisał przed śmiercią Joasi. Mogła sobie kupić mieszkanie. Mogła się urządzić. Nie potrzebowała oglądać się na męża. Zresztą nawet i bez tych pieniędzy dałaby sobie radę. Z jej wykształceniem, z jej zdolnościami...

- Czy córka dała pani coś z tych pieniędzy?

- Nie. Chciała mi dać, ale ja nie chciałam. Mnie wystarcza to co mam, a pieniędzy brata nie potrzebuję.

- Czy pani wie co się stało z tymi pieniędzmi?

- Nie. Nie interesowałam się tym.

- I nie pytała się pani córki?

- Nie. Po co? Joasia była przecież dorosłą osobą. Mogła zrobić ze swoimi pieniędzmi to co jej się podoba. Nie pytałam jej. W zeszłym roku zapłaciła tylko za nowy płot, bo stary już był do niczego.

- Dlaczego córka pani nie wystąpiła o rozwód?

- Nie wiem. Może nie mogła się zdecydować. Wie pan, panie kapitanie, kobiecie trudno się nieraz zdecydować na definitywne zerwanie z człowiekiem, z którym żyła kilka lat. To chyba będzie już dziesięć lat jak Joasia wyszła za Rosickiego.

- Czy córka pani nosiła się z zamiarem poślubienia kogoś innego?

- Miała jakąś sympatię. Artysta malarz. Kiedyś nawet mówiła mi, że może wyszłaby za niego, ale nie ma odwagi ze względu na różnicę wieku. Była starsza od niego. Ja jej odradzałam. Kobieta nie powinna być starsza od męża.

- Jak ma na imię ten malarz?

- Zdaje się, że Ryszard, ale być może, że się mylę. Ostatnio pamięć mnie trochę zawodzi. Pewnie skleroza.

- Czy córka pani prowadziła może jakieś interesy handlowe z tym artystą malarzem?

- Interesy handlowe? Nie wiem. Joasia nic mi na ten temat nie wspominała. Jakież mogłaby prowadzić interesy? Dlaczego pan pyta?

- Tak coś mi przyszło na myśl - uśmiechnął się Suchecki. - Nic ważnego. O ile się orientuję, to córka pani pracowała ostatnio w „Desie”.

- Tak, ale zrezygnowała z tej pracy.

- Czy dlatego, że dostała ten spadek?

- Nie, nie sędzę, żeby dlatego. Zresztą spadek Joasia otrzymała w zeszłym roku, a w „Desie” przestała pracować chyba dwa lata temu.

- Nic pani nie wspominała dlaczego zrezygnowała z tej pracy?

- Nie. Może i coś mi mówiła, ale nie pamiętam. To było tak dawno.

- Czy córka nigdy nie rozmawiała z panią na ten temat, że ktoś jej zagraża,

że kogoś się obawia?

- Nie. Nigdy nic mi takiego nie mówiła.

Suhecki doszedł do wniosku, że już niczego nie dowie się. Wstał i bardzo uprzejmie a nawet serdecznie pożegnał się z panią Lipkowską. Odprowadziła go aż do furtki.

\*

- Byłem w Wydziale Spadków - powiedział Grabik. - Faktycznie przyjemne babeczki tam pracują, ale nikt tam nie słyszał, żeby Joanna Rosicka otrzymała jakiś spadek z zagranicy.

- Ale za to otrzymała spadek pochodzący z ojczystej ziemi - uśmiechnął się Suhecki.

- Co ty mówisz?

- To co słyszysz. Wujaszek „badylarz”. Kupa forsy, dwa, może trzy miliony.

- O, do licha - Grabik aż podskoczył na krześle - To kupa forsy. W takim razie mamy gotowy motyw zbrodni. Teraz tylko trzeba się dobrze zastanowić kto? Mąż czy kochanek?

- Dowiedziałeś się czegoś o Rysiu artyście? - spytał Suhecki.

- Owszem. Mam dla ciebie trochę sensacji.

- No to na co czekasz? Mów.

Grabik zatarł ręce z zadowoleniem.

- Powęszyłem trochę między tą ferajną co to handluje samochodami. Wyobraź sobie, że artysta kupił w zeszłym roku wóz za dwieście patyków, przepisał go zaraz na Rosicką, a następnie sprzedali maszynę za dwieście pięćdziesiąt jakiemuś cudzoziemcowi.

- To znaczy, że jednak miałem nosa - powiedział Suhecki - Kombinowali razem interesy.

Grabik pokiwał głową.

- Jeszcze jak. I z tą „Desą” także tam coś zdaje się było nie bardzo klawo.

- Wiesz coś konkretnego?

- Jeszcze nie, ale nie jest wykluczone, że w najbliższym czasie będę wiedział.

Ale te kobiety.

- Jakie znowu kobiety?

- Jedna bardzo sympatyczna babeczka ma mi coś nie coś wyniuchać w tej sprawie. To nie są proste sprawy.

- Wiem, wiem. Z tym handlem antykami i dziełami sztuki to w ogóle nie są proste sprawy.

Grabik zapalił papierosa i stuknął zapałkami o blat biurka.

- Chyba już najwyższy czas, żeby poważnie porozmawiać z inżynierem Rosickim. Niech nam wytłumaczy dlaczego jego płaszcz był mokry i buty zabłocone, a poza tym niech nam coś powie na temat tego spadku, który otrzymała jego żona. Musiał przecież o tym coś wiedzieć. My także chcielibyśmy wiedzieć co się stało z tą forszą? To nie sto złotych.

Suhecki siedział zamyślony. Twarz miał skupioną. Milczał. Odezwał się znowu dopiero po dłuższej chwili.

- Tak. Trzeba będzie jak najprędzej porozmawiać z panem inżynierem i to już bez żadnej taryfy ulgowej. Zresztą chyba ta dolegliwość serca już dawno

minęła. Widziałem go na pogrzebie. Wyglądał zupełnie zdrowo.

Zadzwoił telefon.

Suchecki podniósł słuchawkę, powiedział:

- Halo. Tu kapitan Suchecki.

Następnie słuchał przez chwilę w milczeniu. Twarz mu się zmieniła.

- Co się stało? - spytał zaniepokojony Grabik.

- Inżynier Rosicki nie żyje.

\*

To była ta mało uczęszczana część Łazienek, na tyłach Belwederu.

Początkowo przechodnie nie zwracali uwagi na leżącego na ławce mężczyznę. Wszyscy myśleli, że pijany. Dopiero dwaj starzy, doświadczeni robociarze zatrzymali się.

- Te, Wacek, ten facet nie wygląda mi na naoliwionego.

- Faktycznie, jakiś dziwny - przyznał Wacek. - Siny jak po denaturacie. A może wykorkował? - I rzeczywiście...

Suchecki i Grabik zastali już na miejscu porucznika Olszewskiego, sierżanta Pakułę i całą ekipę. Doktor Łukasik, duże, ciężkie chłopisko o kwadratowej, zupełnie tysej głowie uważnie oglądał zwłoki

- Jaka przyczyna zgonu? - spytał Suchecki.

Łukasik podniósł się, otrzepał spodnie i powiedział nie patrząc:

- Cyjanek potasu. Nie ma żadnych wątpliwości. - Następnie ściągnął z dłoni gumowe rękawiczki i skierował się do stojącego obok ambulansu. Robił wrażenie człowieka zmęczonego i zniechęconego.

Suchecki dogonił go.

- Przepraszam, panie doktorze, ale chciałem zapytać, czy istnieje możliwość, żeby ten człowiek po zażyciu trucizny przyszedł tutaj z jakiejś innej ławki?

Łukasik potrząsnął głową.

- To bardzo mało prawdopodobne właściwie wykluczone. Cyjanek potasu działa piorunująco, a mam prawo sądzić, że dawka była spora. Aha. byłbym zapomniał. Jeżeli to się panu może na coś przydać, to mogę panu powiedzieć, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż trucizna została podana w czekoladzie. W kącikach warg denata znalazłem małe ślady czekolady. Zresztą sekcja wykaże dokładnie.

- Jeżeli czekolada to znaczy, że nie samobójstwo - powiedział Suchecki.

Łukasik zastanowił się chwilę.

- Wie pan, że to nie jest stuprocentowy dowód. Zdarzają się samobójcy, którzy chcą sobie w jakiś sposób uprzyjemnić zażycie trucizny. Wsypują ją na przykład do wysokogatunkowego wina albo do koniaku.

- Czyli, że mógł zjeść spreparowaną przez samego siebie czekoladkę.

- Nie można tego wykluczyć. Poza tym mógł najprzód jeść czekoladę, a dopiero potem połknąć truciznę.

- A jaki czas zgonu, panie doktorze?

- Zwłoki ciepłe, stężenie pośmiertne jeszcze nie wystąpiło. Sądzę, że to sprawa najwyżej dwóch godzin.

Suchecki spojrział na zegarek.

- Piętnasta. To znaczy, że został otruty około trzynastej.

- Mniej więcej. Sekcja może nam jeszcze dostarczyć jakichś dodatkowych danych.

- Dziękuję, doktorze.

Suchecki wrócił do Olszewskiego i Grabika, którzy rozmawiali półgłosem.

- Odciski palców z ławki zdjęte? - spytał.

- Tak- odparł Olszewski. - Chyba już można zabrać zwłoki.

Suchecki kiwnął głową.

- Można. Tylko jedna sprawa. Trzeba zdjąć odciski linii papilarnych ze wszystkich przedmiotów, znajdujących się przy denacie, portfel, notes, zegarek, zapalniczka, zapalki itd. To bardzo ważne. Poza tym musimy przeszukać tu cały teren. Lekarz przypuszcza, że cyjanek potasu był w czekoladzie. Bardzo chciałbym znaleźć jakieś opakowanie.

Olszewski wydał odpowiednie polecenia. Zwłoki zaniesiono do ambulansu, a oni zabrali się do szukania w trawie, w krzakach. Pracowali gorliwie. Grabik aż się spocił. Znaleźli kilka niedopałków papierosów, jakieś papierki, kawałek celofanu, dwa puste pudelka po zapalkach, oczywiście liście, patyki, kamienie i cały szereg jeszcze rozmaitych śmieci. Wszystkie te „skarby” zostały odpowiednio zabezpieczone i przekazane do Zakładu Kryminalistyki.

Po skończonej robocie. Grabik wziął przyjaciela pod rękę i spytał półgłosem:

- Jak się zdaje, Ignac, morderstwo?

Suchecki wzruszył ramionami.

- Diabli wiedzą, ale chyba tak.

- A może faceta ruszyło sumienie i odebrał sobie życie?

- Wątpię To nie był ten typ człowieka.

- Czy to wiadomo kto jest jakim typem - powiedział sentencjonalnie Grabik.

- Człowiek istota nieznana. Jeżeli samobójstwo to nasza teoria pasuje, ale jeżeli morderstwo to nic nam nie gra. Wszystko trzeba zaczynać od początku. Chyba, żeby Rysio?...

- Dlaczego mówisz, że w wypadku morderstwa nic nam nie gra? - spytał Suchecki.

- Bo jeżeli zakładamy, że Rosicki zabił żonę, a teraz on sam został otruty-to...

- To co z tego?

Grabik podrapał się za uchem.

- No rzeczywiście. Co z tego? - mruknął zamyślony.

\*

Rewizja w mieszkaniu Rosickich była przedsięwzięciem niezmiernie pracochłonnym. Suchecki i Grabik uwijali się jak w ukropie. Trzeba to było załatwić szybko i bardzo dokładnie. Żaden szczegół nie mógł ujść ich uwadze. Wiedzieli z doświadczenia, że w takich sytuacjach każdy, najmniejszy, pozornie nic nie znaczący drobiazg decyduje o powodzeniu.

Suchecki zasapał się, a Grabik tak się spocił, że musiał nawet wejść pod prysznic, żeby się trochę odświeżyć.

Początkowo nie mogli natrafić na nic specjalnie interesującego. Ot, przedmioty osobistego użytku zarówno w pokoju Rosickiego, jak i w pokoju jego

żony. Żadnych listów, żadnych śladów prywatnej czy też intymnej korespondencji.

- Cholera jasna - kłął Grabik. - Zdaje się, że tracimy tylko czas. Może zaczniemy zrywać posadzkę?

- A może raczej przejrzymy te książki - zaproponował Suchecki.

Znajdowali się w pokoju Rosickiego. Półki z książkami zajmowały całą jedną ścianę, od podłogi aż do sufitu.

- Popatrz, popatrz - powiedział Grabik. - Facet zdobył gdzieś „Ulissesa”. Ciekawe ile zapłacił na czarnym rynku?

Suchecki wyciągnął rękę.

- Pokaż.

Zaczęli przeglądać książki. Spomiędzy kartek wypadł na podłogę wąski skrawek papieru. Grabik schylił się i podniósł go.

- Coś chyba po łacinie - mruknął.

Suchecki przeczytał głośno:

- „*Veritas odium parit*”.

Spojrzeni po sobie.

- Rozumiesz coś z tego? - spytał Grabik - Bo ja ni czorta.

- Ja także nie potrafię tego przetłumaczyć - przyznał. Suchecki - ale to chyba rzeczywiście po łacinie.

- Czy myślisz, że to ważne?

- Ważne nie ważne, ale musimy wiedzieć o co chodzi. Taki facet jak Rosicki nieważnej notatki nie wsadzałby do książki.

- Musimy poprosić jakiegoś księdza, żeby nam przetłumaczył - uśmiechnął się Grabik, ocierając pot z czoła.

- Obejdzie się bez księdza. W pokoju Rosickiej widziałem łacińsko-polski słownik Taki biało-niebieski. Przynies. Przecież chyba sobie poradzimy z tymi trzema słowami.

Rzeczywiście okazało się, że nie święci garnki lepią. *Veritas, atis* - prawda. *Odium* - nienawiść. *Pario, peper, partum* - płodzić, rodzić.

- Wszystko razem znaczy: „prawda rodzi nienawiść” - powiedział triumfalnie Suchecki.

Grabik miał zafrasowaną minę.

- Ba, ale co to właściwie znaczy?

- Przecież ci przetłumaczyłem: „Prawda rodzi nienawiść”.

- To rozumiem, ale nie wiem o co chodzi.

- Nikt nie wie.

Popatrzyli na siebie w zadumie. Suchecki zmarszczył brwi i przygryzł dolną wargę, co oznaczało u niego maksymalny wysiłek myślowy, Grabik zaś znowu zaczął się obficie pocić.

Wreszcie Grabik powiedział:

- Do diabła z łacińskimi tekstami. Szkoda czasu. Szukajmy dalej.

Nagle Suchecki uroczystym gestem podniósł wskazujący palec prawe i ręki do góry.

- Chwileczkę. Rosicki był inżynierem, czyli otrzymał wykształcenie techniczne. Należy więc przypuszczać, że nie znał łaciny. Jego żona natomiast

studiowała filologię klasyczną. Stąd wniosek oczywisty, że ta maksyma przez nią została zredagowana.

Grabik skrzywił się.

- Rozumiesz zupełnie logicznie, ale co z twojego rozumowania wynika? Niewiele.

- Na razie rzeczywiście niewiele - zgodził się Suchecki. - Ale zawsze jest lepiej wiedzieć coś niż nic.

- Te stosy książek nastroją cię filozoficznie - uśmiechnął się Grabik.

Szukali dalej. Przeglądali dokładnie każdą książkę, każdy zeszyt z notatkami, każdy list. Na ostatniej półce, prawie pod samym sufitem znaleźli za książkami stary, zniszczony portfel, a w nim przybrudzoną kopertę. Z-tej koperty wypadły na podłogę fotografie. Sześć zdjęć ładnej dziewczyny, w rozmaitych pozach i w rozmaitych strojach.

- Fajna blondyna - powiedział z uznaniem Grabik - Inżynier miał niezły gust. Widzisz jak zbudowana? Spójrz na to zdjęcie w kostiumie kąpielowym. Co za nogi. Fantazja.

- Daj spokój - przerwał te zachwyty Suchecki - Że babka pierwsza klasa to widzę, ale wydaje się, że nie przyszliśmy tu po to, żeby wybierać miss Polonię

- A skąd wiesz, że to w ogóle Polka? - spytał Grabik.

- Masz jakieś wątpliwości?

- Oczywiście. Przyjrzyj się dokładnie temu zdjęciu. Na pierwszym planie cizia w eleganckim kostiumiku, a dalej w perspektywie...

- Łuk Triumfalny - wykrzyknął Suchecki.

- No widzisz - uśmiechnął się z wyższością Grabik - Czyli gdzie fotografijka została wykonana? W Paryżu. - Odwrócił zdjęcie i przeczytał „Paris octobre 1967”. Z tego wynika, że może to być Polka, Francuzka, albo...

Suchecki nie dał mu dokończyć. Chwycił przyjaciela za ramię i powiedział pośpiesznie:

- Słuchaj, Wojtek. Nie mamy czasu do stracenia. Ja tu skończę tę robotę, a ty jedź natychmiast do biura paszportów i sprawdź cały sześćdziesiąty szósty i sześćdziesiąty siódmy rok. Weź sobie do pomocy z komendy ilu chcesz ludzi, nawet dziesięciu. Jeżeli to jest Polka to musiała składać podanie o paszport i fotografie także musiała dołączyć. Poznasz ją przecież. Zabierz te wszystkie zdjęcia, albo nie. Na wszelki wypadek zostaw mi jedno. Jeżeli to Polka, będziemy wiedzieli jak się nazywa.

Grabik nigdy jeszcze nie widział Sucheckiego w stanie takiego podniecenia. Powiedział:

- Dobra, dobra - i wybiegł z mieszkania.

Suchecki został sam. Metodycznie skończył przeprowadzać rewizję, ale nie znalazł już nic godnego uwagi. Usiadł w fotelu i odpoczywał, trzymając w ręku kartkę z łacińską sentencją.

- „*Veritas odium parit*” - powtarzał, zamyślony - Prawda rodzi nienawiść. Prawda rodzi nienawiść. - „O co tu chodzi?” myślał intensywnie. Czyżby jakiś szyfr? Umówione hasło? Hasło! - Uderzył się dłonią w czoło - Hasło. Parę milionów złotych i hasło! To przecież bardzo prawdopodobne. Że też mu to od razu nie przyszło do głowy.



Zerwał się z fotela, podbiegł do telefonu i podniósł słuchawkę.

\*

To była Polka, Renata Tyniecka. Zdjęcia paszportowe wykonane zostały starannie. Nie budziły wątpliwości.

Grabik zacierał ręce z zadowolenia.

- Szafa gra, szefie - mówił, klepiąc przyjaciela po plecach. - Teraz jeszcze tylko jedna rewizyjka, przepiękne odciski wytwornych paluszków i jesteśmy w domu.

- Nie gorączkuj się tak - uspokoił go Suchecki - A przede wszystkim przestań mnie walić w plecy, bo mi płuca odbijesz. Trzeba się zastanowić co dalej?

- Co tu się zastanawiać? Za frak blondynę i musi wszystko nam pięknie wyśpiewać.

- Zaraz, chwileczkę - Suchecki odwrócił się tak, żeby go Grabik nie mógł grzmocić po łopatkach - To nie jest proste. Stworzyliśmy sobie wprawdzie pewną teorię, ale, nie mamy dostatecznych danych na jej potwierdzenie. Babka może wyprzeć się wszystkiego i co wtedy?

- A linie papilarne?

Suhecki wzruszył ramionami.

- Skądże możemy mieć pewność że daktyloskopia w ogóle na coś nam się przyda. A poza tym nie jest przecież wykluczone, że ta dziewczyna nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. To wszystko są nasze przypuszczenia, że była kochanką Rosickiego, że pomogła mu w zlikwidowaniu żony itp. A jeżeli to wszystko nieprawda?

Grabik westchnął.

- Cholera. Ty zawsze masz rację. Dobrze byłoby przeprowadzić rewizję u tej cizi. Żaden prokurator nie da ci nakazu przeprowadzenia u niej rewizji. Nie ma podstaw. W ten sposób moglibyśmy przetrząsać mieszkania wszystkich znajomych i krewnych Rosickich. Więc twierdzisz że Rosicki nie wyjeżdżał do Francji?

- Nie. Dokładnie sprawdzałem.

- To znaczy, że ktoś inny robił te zdjęcia. Zapewne jakiś Francuz. Rosicki tylko otrzymał komplet zdjęć w prezencie.

- Jaką akcję proponujesz na najbliższą przyszłość? - spytał Grabik.

- Ponieważ ta sex-bomba wpadła ci w oko - uśmiechnął się Suchecki - proponuje żebyś się nią zajął.

- Co masz na myśli?

- Przede wszystkim chciałbym, żebyś dyskretnie zdobył odciski jej paluszków.

- Właśnie chciałem to zaproponować. Co dalej?

- Następnie dowiedz się czegoś o niej, co robi, z czego się utrzymuje...

- Sądzę, że dotychczas utrzymywała się z Rosickiego. Teraz te sprawy trochę jej się skomplikowały, ale z takimi nogami zawsze sobie, kogoś odpowiedniego przygrucha.

- Choćby kata.

- Daj spokój - skrzywił się Grabik - Taka śliczna dziewczyna.

- Niejedna śliczna dziewczyna dostała już wyrok śmierci. Uroda, niestety, często bywa elementem składowym zbrodni. Tak jakoś dziwnie świat jest urządzony.

Grabik uważnie przyjrzał się przyjacielowi.

- Ignac, zaczynam się o ciebie poważnie niepokoić. Ty naprawdę ostatnio coraz częściej popadasz w filozoficzne nastroje.

- Nie wygłupiaj się i nie trać czasu na kiepskie dowcipy. Zajmij się panią Renatą Tyniecką.

- A ty co masz zamiar robić?

- Ja muszę odbyć poufną konferencję w PKO.

\*

Dyrektor Pierwszego Oddziału bardzo uprzejmie przyjął Sucheckiego.

- Zostałem już uprzedzony o pańskiej wizycie, panie kapitanie - powiedział, częstując gościa papierosami - Prokuratura zwróciła się w tej sprawie do mojej władzy zwierzchniej.

Suchecki przytaknął lekkim skinieniem głowy.

- Tak. Rozmawiałem na ten temat z prokuratorem, zreferowałem mu dokładnie całą sprawę. Obiecał mi pomoc. Sądzę, że panowie nie mają żadnych obiekcji.

Dyrektor uśmiechnął się.

- Nie tylko nie mamy żadnych obiekcji, ale ja już zdobyłem dla pana potrzebne informacje. Otóż tak. Mieliśmy w naszym oddziale książeczkę oszczędnościową na hasło „Veritas odium parit”. Książeczka ta została wczoraj zlikwidowana.

- Jaka suma?

Dyrektor zerknął do notatek rozłożonych na biurku.

- Dwa miliony trzysta tysięcy.

- Czy pan się przypadkowo nie orientuje kto podjął tę sumę?

- Jak panu wiadomo książeczka na hasło nie wymaga okazania dowodu osobistego. Ponieważ jednak suma była dość znaczna przeto urzędniczka zwróciła się do mnie z zapytaniem czy może bez żadnych zastrzeżeń wypłacić, ale przy okazji obejrzałem sobie klienta, który jednorazowo podnosi przeszło dwa miliony.

- Godna najwyższej pochwały ciekawość - powiedział Suchecki. - No i co? Jak wyglądała ta kobieta?

- Kobieta? - zdziwił się dyrektor. - To wcale, panie kapitanie, nie była kobieta. Wysoki, długowłose młody człowiek w połatanych dzinsach.

Suchecki był trochę zbity z tropu.

- Długowłose młody człowiek?

- Tak. Szczupły, wysoki.

- Blondyn, brunet?

- Raczej ciemny. Widzę, że ten rysopis nie bardzo panu odpowiada.

- Rzeczywiście nie bardzo - przyznał szczerze Suchecki. - No ale trudno. Będę się musiał przyzwyczaić do długowłosego bruneta. Serdecznie panu dziękuję, panie dyrektorze. Nie wyobraża pan sobie nawet jak bardzo mi pan dopomógł.

\*

Kiedy Suchecki skończył mówić, Grabik spojrzał na niego z zafrasowaną miną.

- Psiakrew. Miała być piękna blondyna, a tymczasem marny na rozkładzie chudego bruneta, w połatanych dzinsach i z długimi włosami. Cóż ty o tym sądzisz?

- Sądzę, że będziemy musieli skorygować trochę naszą koncepcję.

- Innymi słowy: kochanek kochanki.

- Jakbyś zgadł. A ty masz dla mnie jakieś rewelacje?

- Tak jest szefie. Rozkazy dokładnie wykonane.

- To znaczy?

- Odciski palców zdobyłem. Wywiad o naszej szalowej blondynie przeprowadziłem. No więc tak: modelka, chodziła podobno do szkoły filmowej, ale jej nie skończyła, statystowała w jakimś filmie, zna język angielski, od czasu do czasu pilotuje cudzoziemców, przede wszystkim poluje na nadzianych facetów.

- Gdzie mieszka?

- W Leśnej Podkowie, w willi swojej siostry, która wyjechała z mężem na placówkę zagraniczną.

- Rozmawiałaś z nią?

- Oczywiście. Jakże bym inaczej zdobył odciski jej palców.

- Jak się do niej załgałeś?

- Powiedziałem, że jestem początkującym reżyserem, że mam zamiar kręcić film i potrzebuję kogoś w jej typie do epizodycznej roli.

- Przypuszczasz, że dała się nabrać?

- Bo ja wiem. Zachowywała się tak, jakby uwierzyła. Miałem spodeczek w kieszeni. Poprosiłem ją o szklankę wody, a potem, kiedy się po coś odwróciła, zamieniłem zgrabnie spodeczki i w ten sposób zdobyłem odciski jej palców. Już oddałem do laboratorium. Ale coś ty taki przegrany?

Suchecki miał rzeczywiście bardzo zakłopotaną minę.

- Psia krew - powiedział ze złością. - Obawiam się, że palnęliśmy spore głupstwo.

- Masz na myśli ten mój „dyskretny wywiad”?

- Właśnie.

Grabik pokiwał głową.

- I mnie też to przyszło na myśl, tylko że trochę za późno.

- Babka wygląda na cwana?

- Na bardzo cwana.

Suchecki otrząsnął się z przygnębienia.

- No cóż... trudno. Stało się. Trzeba ją teraz trochę poobserwować.

- To już załatwione

- Teraz musimy jak najprędzej znaleźć tego chłopaczka, który zainkasował dwa miliony złotych.

- Jak masz zamiar to zrobić? - spytał Grabik. - Wystarczy przecież, żeby obciął włosy i włożył niepołatane portki i nikt go nie pozna.

Suchecki potrząsnął głową.

- Nie znasz się na ludziach. Tak facet prędzej da się powiesić, aniżeli pójdzie do fryzjera i każe ściąć te kudły.

- No to szukajmy go. Ale gdzie?

- Czekaj, czekaj. Zastanówmy się chwilę - Suchecki wyjął z kieszeni długopis i stuknął nim w kartkę papieru leżącą na biurku. - Co robi tego typu obiecujący młodzieniec po zainkasowaniu dwóch milionów?

- Idzie na wódkę.

- To także jest możliwe, ale chyba na dalszym planie. Mnie się wydaje, że musimy wziąć pod uwagę trzy ewentualności: Po pierwsze kupuje samochód, po drugie kupuje dolary, po trzecie kupuje elektryczną gitarę. Z tego wynika, że musimy nawiązać natychmiastowy kontakt z giełdą samochodową, z waluciarzami i ze sklepami sprzedającymi instrumenty muzyczne.

Grabik podrapał się za uchem.

- Czy sądzisz, że facet tak od razu zacznie wydawać forszę?

- Myślę, że tak. Jest młody, a młodzi ludzie zazwyczaj bywają niecierpliwi. Niech mu podleci jakiś elegancki „Mercedes” albo „Volvo”, nie wytrzyma. A ty byś wytrzymał, mając taką forszę w kieszeni?

- Bo ja wiem - Grabik wzruszył ramionami. - Nigdy nie miałem dwóch milionów.

- Więc posłuchaj - Suchecki zaczął notować. - Musimy przeprowadzić błyskawiczną akcję. Jeżeli nawet ta cizia domyśla się, że był u niej ktoś z milicji, to w każdym razie nie wie o tym, że mamy rysopis faceta, który podjął w PKO tę forszę i że go szukamy.

- Tego na pewno nie wie.

- Właśnie. Wobec tego zrobimy tak: ja zaczekam na wynik ekspertyzy daktyloskopijnej i ściągnę babkę do komendy na dłuższą pogawędkę, a ty zmobilizujesz ludzi i zajmiesz się szukaniem długowłosego. Na wszelki wypadek prześlij jego rysopis do wszystkich komend wojewódzkich i powiatowych, ze specjalnym uwzględnieniem Zakopanego, Krynicy i miejscowości nadmorskich. Podaj, że facet dysponuje dużymi pieniędzmi. Trzeba także powiadomić wszystkie punkty graniczne i lotniska. Nie wiemy przecież czy nasz chłopczyk nie ma przypadkiem paszportu i czy nie zechce pryskać za granicę.

Grabik zaczął cicho pogwizdywać „Czy pamiętasz tę letnią przygodę”.

- Przestań gwizdać - zniecierpliwił się Suchecki. - Co ci znowu do głowy przychodzi?

- Tak się zastanawiam nad tym co będziemy robić jak się okaże, że ta dziewczyna w ogóle nie ma nic wspólnego z tą całą sprawą, że to jakaś dama, przygodna znajoma Rosickiego. Bo to przecież także jest zupełnie prawdopodobne.

Suchecki pokiwał głową.

- Oczywiście. Ciągle jeszcze błądzimy wśród naszych przypuszczeń. Prawdę mówiąc jedynymi konkretnymi danymi, którymi dotychczas dysponujemy, są te dwa trupy, a i to nie mamy pewności czy Rosicki został otruty czy też popełnił samobójstwo.

- Mnie niepokoi jedna rzecz - powiedział Grabik.

- Mianowicie?

- Zastanawiam się nad tym, czy ten długowłosey, który podjął forszę, nie jest przypadkiem kumplem naszego Rysia- artysty?

- Tego nie brałem pod uwagę - przyznał szczerze Suchecki. - To byłby zupełnie nowy wariant wśród naszych hipotez.

- Tak - Grabik zapalił papierosa, zaciągnął się i wypuścił dym nozdrzami. - Ale wydaje mi się, że takiej ewentualności nie możemy wykluczyć.

## ROZDZIAŁ IV

Twarz miała tak gładką jak figurynka z sewrskiej porcelany. Oczy duże, ciemne, o miękkim, aksamitnym połysku. Bujne blond włosy nie były farbowane.

Suchecki zdecydował się zaprosić do komendy Renatę Tyniecką. Doszedł do przekonania, że rozmowa na oficjalnym gruncie może tym razem dać lepsze rezultaty. Zresztą jeżeli ta dziewczyna domyśliła się, że odwiedził ją ktoś z milicji, to już nie było sensu w dalszym ciągu grać komedii.

Teraz Ignacy siedział naprzeciwko tej ślicznej dziewczyny, patrzącej na niego z naiwną ufnością małego dziecka, i nie wiedział od czego zacząć. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że w tej rozmowie nie wolno mu popełnić ani jednego błędu, że każde słowo musi być precyzyjnie wyważone. Zdołał zdobyć sporo konkretnych informacji i właśnie nadeszła chwila, w której należało umiejętnie wykorzystać te informacje. Wszystko zależało od tego jak się zachowa i jak zareaguje na pytania ta fascynująca blond-Wenus.

- Pozwoliłem sobie zaprosić panią do nas, do komendy na małą pogawędkę, ponieważ prowadzę dochodzenie w pewnej sprawie i mam powody przypuszczać, że pani mogłaby mi pomóc.

Spojrzała na niego z takim rozbrajającym zdumieniem, że poczuł iż nagle opuszcza go cała pewność siebie.

- Pomóc? Ja? Panu? Bardzo chętnie, ale doprawdy nie rozumiem w jaki sposób mogłabym...

- Czy pani znała inżyniera Edwarda Rosickiego?

- Czy znam Edzia? Oczywiście, że go znam. Och, już teraz rozumiem. To pan prowadzi śledztwo w sprawie zamordowania pani Rosickiej. Ale kto panu powiedział, że ja i Edward... Warszawa to swoją drogą strasznie plotkarskie miasto. Nic się tu nie ukryje.

- Od kogo dowiedziała się pani o zamordowaniu pani Rosickiej?

- Od Edwarda oczywiście. Telefonował do mnie. Potem przeczytałam nekrolog...

- Czy pani znała osobiście panią Rosicką?

- Tak, kiedyś ją poznałam, ale to było dawno.

- A od kiedy datuje się pani znajomość z inżynierem Rosickim?

- To już parę lat, może trzy, może cztery lata. Doprawdy dokładnie nie pamiętam.

- Kiedy po raz ostatni widziała pani pana Rosickiego?

- Niedawno. Chyba przedwczoraj. Spotkaliśmy się w Łazienkach.

Suchecki poczuł, że traci grunt pod nogami. Był przygotowany na to, że dziewczyna będzie wszystkiemu zaprzeczać. Wtedy przedstawiłby jej cały

materiał daktyloskopijny, odciski palców na ławce na niedopałkach papierosów, na notesie Rosickiego.

Miał przecież dowody, że ona spotkała się z Rosickim w Łazienkach i myślał, że ją tymi dowodami przygwoździ. Teraz to wszystko okazało się niepotrzebne, bez znaczenia, bez sensu.

Patrzyła na niego wyczekująco tymi swoimi ogromnymi, aksamitnymi oczami.

- Czy chciał mnie pan jeszcze o coś zapytać?

- Tak. A raczej nie. To nie jest pytanie. Chciałem tylko pani powiedzieć, że pan Rosicki nie żyje.

Bezgłośnie poruszyła wargami i dopiero po chwili szepnęła:

- A więc jednak dotrzymał słowa.

- O czym pani mówi?

- No przecież popełnił samobójstwo. Prawda?

- Skąd pani to wie?

- Edward mówił mi o tym, ale myślałam, że mnie tak straszy, nie wierzyłam, żeby...

- Dlaczego pan Rosicki miał panią straszyć samobójstwem?

- Spotkałam się z nim w Łazienkach, żeby mu powiedzieć, że musimy się rozstać. Edward bardzo mnie kochał, ale nie starał się nawet mnie namawiać, żebym przy nim została. Powiedział tylko, że ma dosyć życia i że postanowił ze sobą skończyć. Nie wierzyłam. Wyśmiałam, go. Żle się stało, bardzo źle. Powinnam była się nim zająć, nie zostawiać go w takiej depresji. Żałuję. Biedny Edward.

- Dlaczego pani zdecydowała się na to zerwanie?

Wzruszyła ramionami.

- Po prostu znudziło mi się. Wie pan jak bywa. Zresztą już od pewnego czasu tak się jakoś między nami zaczęło psuć. Edward był ode mnie dużo starszy. Doszłam do przekonania, że nie ma sensu dłużej tego ciągnąć.

- Czy pani może zainteresowała się kimś innym?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Nie w głowie mi te rzeczy. Przynajmniej na razie. Zraziłam się do mężczyzn. To egoiści. Myślą tylko o sobie. Edward niby mnie tak bardzo kochał, a nie pomyślał o tym jaką wielką sprawi mi przykrość tym swoim idiotycznym samobójstwem. Teraz tak to wygląda jak bym ja była temu winna, że on się otrul.

- Skąd pani wie, że Rosicki się otrul? - spytał prędko Suchecki.

Przez porcelanową twarz przesunął się nagle jakby cień niepokoju, ale mogło to być złudzenie.

- Edward mówił mi, że się otruje. Spytałam go czym ma zamiar się truc? Odparł, że cyjankiem potasu. To zdaje się bardzo mocna trucizna.

- Owszem. To bardzo mocna trucizna - przytaknął Suchecki. - Ciekawe gdzie inżynier Rosicki zdobył cyjanek potasu?

- Tego nie wiem. Ale Edward miał tylu różnych znajomych, przyjaciół. Pewnie ukradł jakiemuś chemikowi czy aptekarzowi. Nie mam pojęcia.

Suchecki pokiwał głową.

- Bardzo prawdopodobne. Ale wróćmy jeszcze do pani Rosickiej.

Wspomniała pani, że kiedyś przypadkowo pani i ją poznała.

- Tak.

- I że to było bardzo dawno?

- Tak. Parę lat temu.

- Czy potem nigdy już pani jej nie widziała?

- Nie. Raczej unikałam spotkania z żoną Edwarda. Pan rozumie?

- Czy pani prowadzi wóz? - spytał niespodziewanie Suchecki. Spojrzała na niego zaskoczona.

- Czy prowadzę wóz? Tak, oczywiście. Mam prawo jazdy.

- Czy ma pani także i samochód?

- Miałam „Syrenkę”, ale ją w zeszłym roku tak rozbiłam, że... Teraz nie mam żadnego wozu.

- Pani mieszka w Leśnej Podkowie, prawda?

- Tak. Przecież pan wie.

- I, o ile się orientuję, zajmuje pani willę siostry.

- Tak. Siostra z mężem wyjechała za granicę. Szwagier jest na placówce handlowej.

- Czy pani szwagier ma samochód?

- Tak. „Wartburga”.

- Ale chyba wozu nie zabrał ze sobą?

- Nie. Zostawił w garażu.

- To pani się świetnie udało. Może pani jeździć tym „Wartburgiem”.

Potrząsnęła głową.

- Niech pan sobie wyobrazi, że wcale nie jeżdżę. Obiecałam szwagrowi, że nie będę używała jego wozu. Nawet nie mam kluczyków.

- Najwidoczniej szwagier wolał nie ryzykować po tej pani przygodzie z „Syrenką”.

- Och, to wcale nie była moja wina. Kierowca ciężarówki na skrzyżowaniu...

Suchecki przerwał jej ruchem ręki.

- Mniejsza z tym. To było dawno, a zresztą ja nie mam nic wspólnego z milicją drogową. Sam nie dorobiłem się jeszcze własnego samochodu i przyznaję, że nie bardzo orientuję się w kodeksie drogowym. Chciałbym jeszcze panią zapytać, czy pan Rosicki wspominał pani coś o tym, że jego żona otrzymała spadek?

- Spadek? Nic o tym nie słyszałam. Któż mógł jej zostawić spadek?

- Podobno jakiś zamożny wujaszek. Tak się jakoś dziwnie składa, że spadek otrzymują ludzie przeważnie albo po cici albo po wujku. Więc pani rzeczywiście nie słyszała o tym, że pani Rosicka dostała spadek?

- Nic nie słyszałam. Nawet się dziwię, że Edward mi o tym nie powiedział. Może zapomniał, a może nie chciał zdradzać przede mną tajemnic rodzinnych.

- Czy pan Rosicki miał zamiar rozwodzić się z żoną?

- To możliwe. Nie rozmawiałam z nim na ten temat.

- A pani nie namawiała go, żeby się rozwiódł?

- Nie. Po co? Przecież nie miałam zamiaru wychodzić za niego za męża. To byłoby śmieszne. Mogłabym być jego córką.

- Czy pani gdzieś pracuje?

- W tej chwili nie.
- To z czego pani żyje?
- Z oszczędności.
- A jaki jest pani zawód?
- Jestem artystką.
- To dosyć szerokie pojęcie.
- Jestem aktorką filmową. A w ogóle co to pana obchodzi czym ja się zajmuję?

Suchecki uśmiechnął się. Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy blondyna o aksamitnych oczach straciła cierpliwość.

- Przepraszam. Ma pani rację. Być może, że jestem trochę zbyt ciekawy. Nie jest również wykluczone, że pani jest zmęczona. Proponuję żebyśmy na dzisiaj skończyli tę pogawędkę. Dziękuję pani. Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy.

Obdarzyła go uroczym uśmiechem.

- Będzie mi bardzo miło, panie kapitanie. Jest pan wyjątkowo sympatycznym mężczyzną.

Suchecki przez chwilę patrzył w zamyśleniu na drzwi za którymi zniknęła piękna pani Renata. Następnie zaś podniósł słuchawkę i połączył się z porucznikiem Olszewskim.

Trzeba było przecież załatwić jakoś z tym „Wartburgiem”.

\*

To była rzeczywiście niebywała okazja. Prawie nowiutki „Humber” za sto trzydzieści tysięcy. Któż by się oparł takiej pokusie. Nic dziwnego, że reflektantów było dużo, a pośredników jeszcze więcej. Do transakcji jednak jakoś nie dochodziło. Zdawać by się mogło, że właściciel wozu nie śpieszy się i że pragnie sobie wybrać takiego kupca, który by mu odpowiadał. I wreszcie wybrał. Był to wysoki, szczupły młody człowiek z długimi włosami i w połatanych dżinsach.

Trzeba było odbyć próbną jazdę. Wsiedli do błyszczącego „Humbera” i dojechali prosto do... Komendy Miasta.

Chłopak tak był zaskoczony i przerażony, że nie próbował niczemu zaprzeczać.

Grabik od razu zaprowadził amatora okazynego kupna do pokoju Sucheckiego.

- Nazwisko?
- Bogdan Łączewski.
- Proszę o dowód osobisty.

Młody człowiek drżącymi rękami wyjął dowód z portfela.

Suchecki zanotował dane personalne i spytał:

- Gdzie pan pracuje?
- Nigdzie.

- Jak to? Ma pan dwadzieścia siedem lat i nigdzie pan nie pracuje? To z czego pan się utrzymuje?

- Jestem na utrzymaniu rodziców.
- I nic pan nie robi?



- Uprawiam działalność artystyczną. Gram w zespole na gitarze. Czasem coś zarobię graniem, ale teraz duża konkurencja. Zacznę chyba komponować piosenki. To się lepiej opłaca jak samo granie.

- Chciał pan kupić samochód za sto trzydzieści tysięcy.

- Chciałem.

- Można wiedzieć skąd pan ma tyle pieniędzy?

- To moje oszczędności.

Suchecki przyjrzał mu się ubawiony.

- Oszczędności? No... tak oczywiście. To tylko kwestia czyje to są oszczędności. To było trudne do zapamiętania hasło. Prawda? „Veritas odium parit”.

Młody człowiek bardzo się zmieszał.

- Skąd pan wie? - zamruczał.

- To nieważne skąd. Wystarczy, że wiem. - Suchecki energicznie stuknął długopisem o blat biurka. - A teraz proszę nam powiedzieć kto panu podał hasło? Tylko bez żadnych głupich kłamstw, bo to się i tak na nic nie zda. Więc kto?

Łączewski wcisnął głowę między ramiona, jakby tym ruchem chciał się obronić przed swymi prześladowcami.

- Jedna moja znajoma - powiedział bardzo cicho.

- Nazwisko tej znajomej?

- Tyniecka... Renata Tyniecka.

- Czy powiedziała panu czyje to pieniądze?

- Nic mi nie powiedziała. - Chłopak ożywił się nagle. Najwidoczniej dojrzał w tej mętnej sytuacji właściwą drogę obrony. - To znaczy... powiedziała mi, że to są jej pieniądze i prosiła, żebym je dla niej podjął. To przecież nic złego. Ja nie zrobiłem nic złego. Ja nie zrobiłem nic złego. Nikt o to do mnie nie może mieć żadnej pretensji.

- No tak, rzeczywiście - uśmiechnął się przyjacielsko Suchecki. - Nikt do pana nie może mieć żadnej pretensji, z tym jednak drobnym zastrzeżeniem- że to co pan mówi nie mija się z prawdą. Na razie jest pan zatrzymany aż do wyjaśnienia tej sprawy.

\*

Kolejna rozmowa z porcelanową blondynką miała już charakter o wiele mniej idylliczny.

Początkowo pani Renata była, tak jak za pierwszym razem, pogodna i beztraska.

- Znowu się spotykamy - zaczął Suchecki.

Uśmiechnęła się czarująco.

- No właśnie. Nie przypuszczałam nawet, że to nastąpi tak prędko. Czyżby pan potrzebował ode mnie jakichś dodatkowych informacji dotyczących tego biednego Edwarda?

Suchecki westchnął.

- Przykro mi, ale mam dla pani złe wiadomości - powiedział melancholijnie.

- Złe wiadomości? Przeraża mnie pan. Cóż to takiego?

- Pani przyjaciel został aresztowany.

Przybladła, ale ciągle jeszcze panowała nad sobą.

- Przyjaciel? Jaki przyjaciel? Nie rozumiem.

- Chyba nie ma pani całego tłumu przyjaciół. Chodzi o niejakiego Bogdana Łączewskiego.

Strzał był celny. Przez chwilę nie mogła wydobyć głosu z gardła.

- Dlaczego pan go zaarrestował? - spytała sucho.

- Pan Łączewski został zatrzymany do czasu wyjaśnienia pewnej trochę dziwnej sprawy. Twierdzi on mianowicie, że pani prosiła go o podjęcie z PKO dość znacznej kwoty, złożonej na hasło: „Veritas odium parit”. Dwa miliony trzysta tysięcy. To dosyć sporo. Prawda? Chciałbym wiedzieć jakim sposobem doszła pani do takich pieniędzy.

Milczała.

- Ja doskonale rozumiem - mówił dalej Suchecki - że pani jest trudno odpowiedzieć na to pytanie. Wobec tego pomogę pani. Te pieniądze nie należą do pani. To są pieniądze niedawno zamordowanej Joanny Rosickiej. Pani jest podejrzana o wzięcie udziału w tej zbrodni.

- Nie mam z tym nic wspólnego.

Suchecki uśmiechnął się łagodnie i powiedział cichym, spokojnym głosem:

- Te wszystkie wykręty na nic się nie zdadzą. Lepiej niech się pani od razu przyzna. Skróci pani w ten sposób tę naszą rozmowę, która jest przykra zarówno dla pani jak i dla mnie.

- Nie ma pan żadnych dowodów, żeby mnie oskarżać o takie rzeczy.

- Ja panią nie oskarżam. To prokurator będzie panią oskarżał. Ja panią tylko podejrzewam, a nigdy nikogo nie podejrzewam bezpodstawnie. Wczoraj dokonano rewizji w willi, którą pani chwilowo zajmuje.

- Tak. Wiem. Jestem oburzona. To bezprawie.

- Przecież przedstawiono pani nakaz prokuratora. Wszystko odbyło się zgodnie z przepisami prawa. Nasi ludzie obejrżeli również dokładnie tego „Wartburga”, który stoi w garażu i z którego pani jakoby nie korzysta. Otóż proszę sobie wyobrazić, że w tym „Wartburgu” znaleziono odciski palców pani Rosickiej. Co za niezwykły zbieg okoliczności. Zupełnie niezrozumiała historia. Przecież panią Rosicką spotkała pani kiedyś przed laty i później już nigdy więcej. Tego wozu pani nie używa. Więc skąd właściwie te odciski palców? Bardzo dziwne. Tajemnicza sprawa.

Wybuchnęła płaczem.

Suchecki wyjął z górnej kieszeni marynarki białą chusteczkę i podał ją przez biurko.

- Proszę. I niech pani nie płacze, bo to nic nie pomoże, a tusz się rozmaże i potem kobieta niezbyt efektownie wygląda.

- To on mnie namówił. To wszystko przez niego.

- Biedne dziecko - westchnął ze współczuciem Suchecki. - Tak panią omotał ten perfidny starszy pan?

- A żeby pan wiedział, że mnie omotał. I nie tylko, że mnie omotał, ale także sterroryzował. Zmuszał mnie do rzeczy, których ja nigdy, nigdy bym nie zrobiła. Wierzy mi pan?

- Ależ oczywiście, że pani wierzę. To straszne. Młoda dziewczyna w

szponach takiego człowieka.

Spojrzała trochę podejrzliwie, ale twarz Sucheckiego wyrażała tak szczere oburzenie, że odrzuciła od siebie wszelkie wątpliwości, tym bardziej, że w tym momencie za wszelką cenę pragnęła wierzyć w szczerść jego słów.

- Mówię prawdę, panie kapitanie, mówię szczerą prawdę. Musi pan uwierzyć.

- Wierzę pani, tylko chciałbym, żeby mi pani tak zupełnie spokojnie wszystko od początku opowiedziała. Jak to było?

Otarła łzy, wyjęła z torebki lusterko i poprawiła makijaż.

- Joanna dostała spadek. To była duża forsa. Zresztą pan wie. Złożyła wszystko w PKO na hasło. Takie dziwaczne hasło wymyśliła, coś po łacinie. Edward znał to hasło. Ale zaczęli się coraz bardziej kłócić. Joanna chciała wystąpić o rozwód. Bała się, że on zabierze forszę. Powiedziała, że odbiera i zmienia hasło. Miała to zrobić na drugi dzień po tym przyjęciu.

- I wtedy Rosicki namówił panią...

- Tak. Właśnie. Edward udał chorego. Nie poszedł na przyjęcie. Kazał mi telefonować do Kruszewskich i powiedzieć, że matka rozchorowała się.

- Przyjechała pani „Wartburgiem” do Warszawy.

- Tak Czekalam w wozie koło domu Kruszewskich. Jak wyszła Joanna podjechałam i zaproponowałam, że ją podwiozę. Wsiadła. Po drodze spotkaliśmy Edwarda. Jechał swoją „Skodą”. Joanna przesiadła się do niego i pojechali. Ja wróciłam do Leśnej Podkowy. Nic więcej nie wiem.

- Czy pani nie domyśliła się, że Rosicki ma zamiar zamordować swoją żonę?

- Skądże. Nie miałam pojęcia, że może zrobić coś takiego.

- A jak sobie wobec tego wyobrażała pani to wszystko? Przecież musiał panią zdziwić ten cały skomplikowany plan.

- Nic nie myślałam. Nic sobie nie wyobrażałam. Robiłam co mi kazał. Byłam całkowicie pod wpływem tego człowieka.

- A kiedy Rosicki powiedział pani to hasło? Czy wtedy w Łazienkach?

- Tak.

- Wolał oczywiście, żeby pani podjęła te pieniądze, wolał, żeby jego nikt nie widział w PKO. Miał dużo znajomych. Mógł ktoś zobaczyć, że podejmuje taką ogromną sumę.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie, nie... To nie było tak... Przecież on... on miał zamiar popełnić samobójstwo. Myślę, że dręczyły go wyrzuty sumienia. Nie chciał, żeby taka forsa zmarnowała się i dlatego dał mi to hasło. Ja nie zrobiłam nic złego, panie kapitanie.

- Nad tą sprawą będą się zastanawiali sędziowie. Ja chciałbym jeszcze dowiedzieć się skąd pani zdobyła ten cyjanek potasu, którym pani otruła Rosickiego?

- Ależ ja go nie otrułam! On popełnił samobójstwo!

Suchecki postanowił zabluffować. Pochylił się nad biurkiem, spojrzał dziewczynie prosto w oczy i powiedział, wolno rozciągając zgłoski:

- A czy pani wie, że podczas rewizji w pani mieszkaniu znaleziono czekoladkę nadzianą cyjankiem potasu.

- To niemożliwe! Przecież ja wszystkie... - urwała nagle przerażona. Porcelanowa twarz poszarzała.

- Przecież pani wszystkie zatrute czekoladki wyrzuciła - dokończył Suchecki.

\*

Skończyli pisać raport. Grabik wykręcił ostatnią stronę z maszyny, przeciągnął się i ziewnął.

- No, odwaliliśmy kawał solidnej roboty - powiedział. - Warto by pomyśleć o maleńkim odpoczynku.

- Może wybierzemy się w niedzielę na grzyby? - zaproponował Suchecki.

- O nie, nie. Żadnych muchomorów, żadnych czekoladek nadziewanych cyjankiem potasu... Nic z tych rzeczy. Na jakiś czas mam dosyć trucizn. Ale wracając jeszcze na chwilę do naszej sprawy, wiesz o czym ciągle myślę?

- O czym?

- Zastanawiam się nad tym, dlaczego Rosicką nie zdziwiło to, że Kalinowska zatelefonowała do Kruszewskich? Skąd niby miała Kalinowska wiedzieć, że Rosicka jest na tych urodzinach?

- To proste. Rosicka była u matki tego dnia rano i Rosicki o tym wiedział. Matka Rosickiej dała jakiś prezent dla Kruszewskiej. Wiedziała, że Joanna będzie na urodzinach. Dla tego też Rosicka nie była wcale zdziwiona, że domniemana Kalinowska zadzwoniła do Kruszewskich.

Grabik pokiwał głową.

- Tak, masz rację. Teraz to dla mnie jest jasne. A swoją drogą nie przypuszczałem, że tak prędko poradzisz sobie z tą blond Wenus. Robiła na mnie wrażenie o wiele twardszej.

- Po prostu załamała się. Nie wytrzymała nerwowo. Jeżeli między pierwszym przesłuchaniem a drugim upłynie trochę czasu, to albo przestępca obmyśla sobie linię obrony i twardnieje albo załamuje się.

- Wyobrażam sobie jak ciebie znienawidziła ta dziewczyna.

- *Veritas odium parit*. Prawda rodzi nienawiść - uśmiechnął się Suchecki.

**KONIEC**

*Warszawa, wrzesień 1970.*

# Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07



Dotychczas ukazały się w tej serii następujące pozycje

1. Barbara Nawrocka – Tajemnicza katarynka
2. Kazimierz Koźniowski – Szytłem w serce
3. Jerzy Edigey – Szkielet bez palców
4. Jacek Wołowski – Anastazja lubi reklamę
5. Adrian Czabot – Skok śmierci
6. Zygmunt Zeydler-Zborowski – Złoty centaur
7. Jan Bernard – Telefonował morderca
8. Marcin Dor – Zabójstwo Thomasa Jonesa
9. Krzysztof Opatowski – To nie oryginał, Hieronimie!
10. Władysław Krupiński – Złote kółka
11. Zbigniew Saljan – Uwaga, komunikat specjalny!
12. Janusz Głowacki – Dzień słodkiej śmierci
13. Henryk Gaworski – Fotografia mówi prawdę
14. Helena Turbacz – Świecznik Maurów
15. Artur Moreno – Umrzesz o północy
16. Barbara Gordon – Filiżanka czarnej kawy
17. Stanisław Goszczurny – Sylwestrowa noc
18. Remigiusz Szczęsny – Zaczęło się w „Sybilli”
19. Adam Haušič – Dlaczego pan zabił moją mamę?
20. Ryszard Szczerba – Ślad prowadzi w przeszłość
21. Sław Ankiewicz – Kto zamknął drzwi?
22. Emilia Cassa-Kasicka – Krzyk w nocy
23. Barbara Nawrocka,  
Ryszard Doński – Śmierć czarnoksiężnika
24. Maciej Patkowski – Polowanie na kota
25. Andrzej Szypulski – Głupi kawal
26. Zygmunt Sztaba – Śmierć lichwiarza
27. Krzysztof Opatowski – Złoty podział
28. Barbara Gordon – Bez otu
29. Andrzej Szczyplarski – Wyspa czterech lotrów
30. Wanda Falkowska – Kim jesteś?
31. Aleksander Ścibor-Rylski – Złote koło

Cena zł 6,—

lesiojot